NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Roczuie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. **Kraków, 22 lipca 1916.** **Nr. 30**

Z ostatnich walk.






1) Przygotowania do założenia przeszkód z drutu kolczastego w Tyrolu na wysokości 2.000 m. 2) Żołnierze austryaccy zakładają przeszkody z drutu kolczastego na wschodnim froncie. 3) Dwunastocentymetrowa armata austryacka podczas wystrzału w Tyrolu na wysokości 2.000 m. 4) Zwłoki poległych Rosyan.

Treść numeru: Legiony w boju. — Hołd męczennicy polskiej. — Lwowiacy na froncie. — Tarcza Legionów w Chrzanowie. — Na włoskim froncie. — Albania w czasie wojny. — Z życia prowincyi. — Zgon zasłużonego obywatela i t. d.

Z ostatnich walk.

Wojna wchodzi w okres rozstrzygający. Na wszystkich frontach wre zacięta walka. Na wschodnim froncie już drugi miesiąc Rosyanie czynią rozpaczliwe wysiłki, aby przełamać front wojsk sprzymierzonych, lecz poza drobnymi sukcesami, nie zdołali osiągnąć zamierzonego rezultatu, pomimo olbrzymich ofiar, jakich nie szczędzą w swej ofenzywie. Równie krwawe i zacięte walki toczą się na zachodzie. Na północnej części frontu Anglicy rozpoczęli gwałtowną ofenzywę, nie zdołali jednakże przełamać głównych linii niemieckich.

Zarówno ofenzywa rosyjska, jak i angielska nie zdołała jednakże powstrzymać rozpoczętej akcyi pod Verdun. Francuzi bronią się po bohatersku, uzbroili przytem twierdzę we wszystko, czem rozporządza współczesna sztuka wojenna, pomimo to Niemcy krok za krokiem posuwają się naprzód, zagrażając coraz bardziej broniącej się tak uporczywie twierdzy.

Wszystkie te olbrzymie walki, jakie toczą się obecnie na wschodzie i zachodzie, nie powstrzymały bynajmniej akcyi wojsk austro-węgierskich na południowym froncie. I tam wre zacięta walka, która jest dalszym ciągiem przedsięwziętej z takiem powodzeniem ofenzywy austryackiej.

Z tych rozstrzygających walk, jakie toczą się obecnie na wszystkich frontach, zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi zarówno z wschodniego frontu, jak i południowego, gdzie walcząca w górach armia austryacka musi pokonywać niebywałe trudności terenowe.



Hołd męczennicy polskiej: Krzyż na miejscu znalezienia zwłok zamordowanej przez Moskali ś p Karoliny Kózkówny.

Hołd męczennicy polskiej.

Wspaniała uroczystość odbyła się dnia 18 go czerwca b. r. w Zabawie pod Radłowem na pamiątkę męczeństwa, które poniosła z ręki Moskala w obronie swej czystości szesnastoletnia Karolina Kózkówna.

Wypadek tragicznej tej śmierci zaszedł dnia 18 go listopada 1914 r., w czasie pochodu Rosyan na Kraków. — We wsi Śmietana, parafii Zabawa, wpadł rano do domu Jana Kózki uzbrojony Moskal i grożąc karabinem wypytywał się o Austryaków. Kiedy tak ojciec, jak i obecna w izbie córka odpowiedzieli, że wojska austryackie odeszły już przed tygodniem, kazał im iść z sobą na zeznanie do komendanta.



Hołd męczennicy polskiej: Dom rodziny ś. p. Karoliny Kózkówny.





Hołd męczennicy polskiej:

Rodzina ś. p. Karoliny Kózkówny pod krzyżem na miejscu morderstwa.

Poświęcenie pamiątkowej figury przy kościele w Zabawie.

Urojony komendant mieszkał widocznie gdzieś w lesie, bo kozak wprowadził ojca i córkę w pobliski las i nagle, gdy uszli z pół kilometra od wsi, przyłożywszy ojcu karabin do piersi, rozkazał mu wracać „do dzieci". Wówczas przerażony ojciec uciekł do domu, a płacząca Kózkówna pozostała z dzikim żołdakiem w lesie.

Kiedy wieść o uprowadzonej dziewczynie stała się głośną i o całym wypadku dowiedział się miejscowy proboszcz, ks. Władysław Mendrala, rozpoczął natychmiast przy pomocy rosyjskiej komendy dwudziestego pierwszego korpusu poszukiwania zaginionej. Polak, pułkownik Januszewski, dał w tym celu oficera i pięciu kozaków, lecz niestety poszukiwania te pozostały bez skutku.

Dopiero 4-go grudnia 1914 r., gdy gospodarz Franciszek Szwiec z Wał Rudy wyszedł do lasu zbierać drzewo, odnalazł zwłoki zamordowanej Kózkówny.

Znalezione ciało straszny przedstawiało widok. Dziewczyna leżała na wznak, prawą ręką wsparta na łokciu, z dłonią zwróconą do góry i zaciśniętą. Lewa ręka spoczywała na ziemi, a w dłoni znajdowała się chustka z głowy. — Po wydobyciu ciała z zamarzniętej ziemi, zauważono pod głową i plecami duże ślady krwi. Od lewej strony szyi aż do prawej piersi miała głęboką ranę. — Po wyjęciu chustki z lewej dłoni zauważono, że wszystkie palce przecięte są aż do kości. Prawa zaś ręka była również przecięta aż do kości poniżej łokcia, a od dłoni aż po łokieć obdarta ze skóry. Rękawy koszuli przesiąknięte były zupełnie krwią i tak do ran przymarznięte, że je z trudnością zdołano oderwać.

Wymienione rany i okoliczność, że Kózkówna ratowała się ucieczką, bo zwłoki znaleziono znacznie dalej od miejsca, gdzie ją zostawił ojciec, są wymownym dowodem, iż dziewczyna broniła się dzielnie i wolała raczej zginąć straszną śmiercią, aniżeli utracić najdroższy skarb, niewinność.

S. p. Karolinę Kózkównę pochowano zrazu, że to były czasy okupacyi rosyjskiej, na cmentarzu parafialnym, opodal kościoła w Zabawie, równocześnie układano plan godnego uczczenia zamordowanej parafianki.

W czerwcu roku bieżącego przed kościołem w Zabawie wystawiono okazały posąg Najświętszej Panny Niepokalanej z pińczowskiego kamienia, z granitową tablicą i odpowiednimi napisami. Na miejscu zaś znalezienia zwłok stanął olbrzymi krzyż dębowy, z wizerunkiem Zbawiciela, o podstawie z głazów kamiennych, w którą wmurowano granitową płytę z następującym napisem i wierszem ks. Pawła Wieczorka:

Ku pamięci
szesnastoletniej Karoliny Kózkówny
zamordowanej d. 18 listop. 1914 r.
ziomkowie.

Kiedy najeźdźcy, jak wzburzona fala,
jej wieś zalali, w las uprowadzona,
zginęła z ręki dzikiego Moskala,
po krwawej walce śmiertelnie zraniona.

Droższą niż życie była dla niej cnota,
gdy w jej obronie stoczyła bój z wrogiem,
milszą śmierć sroga, niż grzechu sromota —
więc męczennicą stanęła przed Bogiem!

Na uroczystość poświęcenia figury przed kościołem i krzyża w lesie wyznaczono odpust w parafii,



Legiony w boju: Pułkownik Januszajtis (w środku) w gronie oficerów sztabu II. Brygady.
(Fot. chor. Dunaj C. B. W. — N. K. N.)





Hołd męczennicy polskiej:
Dziewczęta wiejskie w procesyi pod krzyż na miejscu zamordowania ś. p. K. Kózkówny.
Kazanie księdza Czencza przy kościele w Zabawie.



Legiony w boju: Druga baterya na pozycyi
(Fot. chor. Dunaj. C. B. W. — N. K. N.)





Legiony w boju: Oddanie ostatniej posługi poległym na polu walki Legionistom.

dzień św. Trójcy, 18 go czerwca. Wśród przecudnej pogody spłynęły do Zabawy ogromne tłumy ludu z całej okolicy. — Przed sumą, pod gołem niebem, wygłosił wzniosłe kazanie ks. Czencz T. J, sumę celebrował w licznej asyście ks. dr. J. Lubelski z Tarnowa. — Po nieszporach przemówił znowu O. Czencz o „Cnocie czystości", poczem ks. dziekan A. Kmietowicz z Radłowa w otoczeniu duchowieństwa dokonał poświęcenia posągu Matki Bożej. Przed poświęceniem odśpiewały dzieci szkolne pieśń ku czci ś. p. Kózkówny, ułożoną przez p. Franciszka Biedronia p. t.: „Cieniom dziewicy", do której piękną melodyę dostosował ks. Michał Krawczyk z Ryglic.

Po poświęceniu figury rozwinęła się olbrzymia procesya pod przewodnictwem kilkunastu księży, z chorągwiami i obrazami do lasu, na miejsce męczęństwa, oddalone o trzy kilometry od kościoła.

Wśród śpiewu pieśni i różańca świętego wiła się gościńcem cudnie barwna wstęga pątników — bez końca, po wsi i przez las, aż się zatrzymała pod dębowym krzyżem, na uroczej polance. — Tu, z brzozowej ambony wygłosił porywające kazanie ks. dr. J. Czuj, redaktor „Ludu katolickiego" z Tarnowa, o „Cierpieniu" — zaśpiewały znowu dzieci pieśń o swej starszej koleżance, a ksiądz dziekan poświęcił krzyż pamiątkowy.

Dopiero późnym wieczorem, w podniosłym na stroju ducha, wróciły tłumy ludu do domów — skończyła się uroczystość ku uczczeniu bohaterstwa wiejskiej dziewczyny.

Zgon zasłużonego obywatela.

W Krakowie zmarł w siedmdziesiątym siódmym roku życia ś. p. Edmund Klemensiewicz, jeden z tych, co w walce orężnej o wolność narodu w roku 1863 życie nieśli w ofierze i przeszli przez piekło Sybiru. Ten szlachetny poryw i dalszemu jego życiu nadał wytyczny kierunek. We wszystkiem, co ś. p. Klemensiewicz dla dobra ogółu robił, przyświecał mu ideał Polski takiej, za jaką z bronią w ręku walczył w zaraniu swej młodości.

Powróciwszy do kraju w roku 1865, ś. p. Klemensiewicz jął się pracy nad ukończeniem przerwanych studyów prawniczych. Ukończywszy je w Uni-



Zgon zasłużonego obywatela: Ś. p. Edmund Klemensiewicz.

wersytecie Jagiellońskim, zaciągnął się do służby sędziowskiej, którą dłuższy czas spełniał w sądzie nowosądeckim. Gdy utworzono stanowiska notaryuszów, przeniósł się do tego zawodu, jako dającego więcej swobody dla pracy obywatelskiej. W Grybowie zająwszy urząd notaryusza, dał się też zaraz poznać wśród obywatelstwa jako człowiek pełen inicyatywy i szczerze demokratycznych przekonań. Pracował też zarówno w tamtejszej radzie gminnej, jak powiatowej. Ostatniej z nich przewodniczył przez czas dłuższy. Lud poznał się na wartości ś. p. Edmunda Klemensiewicza i przez dwie kadencye wybierał go posłem swoim do Sejmu krajowego.

Przeniósłszy się na stanowisko notaryusza w Krakowie, odrazu stanął do apelu obywatelskiego i zajął się sprawami publicznemi. Polskie stronnictwo demokratyczne, któremu wówczas przewodniczył ś. p. Jan Rotter, z całą skwapliwością skorzystało z wydatnej i wypróbowanej pomocy dzielnego działacza publicznego i z jego wydatnej działalności, jasnego sądu o rzeczach i ludziach. W stronnictwie swojem zajął też ś. p. Edmund Klemensiewicz odrazu bardzo wybitne stanowisko i ważną w nim odegrał rolę.

Przy najbliższej sposobności wybrany do krakowskiej Rady miejskiej, ceniony był jako prawnik i zaprawiony do spraw publicznych obywatel, działający zawsze w najlepszej chęci służenia miastu, krajowi i Ojczyźnie. Brał także czynny udział we wszystkich ważniejszych stowarzyszeniach i instytucyach, między niemi w Sokole krakowskim i w Towarzystwie Szkoły Ludowej.

Wśród kolegów zawodowej pracy ceniony i lubiany, powołany został przez nich do Wydziału Izby notaryalnej w Krakowie, poczem zaszczycony godnością jej prezesa, spełniał trudne nieraz na tem stanowisku obowiązki z całą gotowością i gorliwością.

Ostatnie lata zawieruchy wojennej oddziałały niekorzystnie na stan jego zdrowia. Przymusowy zwłaszcza wyjazd do Ołomuńca z Izbą notaryalną, podkopał niespożyte, jak się zdawało, jego zdrowie. Powrócił z tego tułactwa z nadszarpanemi nerwami. Zaczęła się choroba, która położyła kres jego życiu.

Cześć jego pamięci.



Z ostatnich walk: Placówka na górze w Tyrolu.



Lwowiacy na froncie: Patrol lwowskiego 19. pułku p. w śniegowych płaszczach

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

15

Obiad przeszedł w milczeniu. Anielka zasmucona i zadąsana nie odzywała się ani słowa. Pani Krystyna także nic nie mówiła, a myśl jej przebiegała bezustannie od kłopotu z rządcą, do czekającego na nią w szpitalu chorego chorążego Walczaka.

Bo pani Krystyna, zaniedbując wszystkie inne obowiązki swoje „szpitalnej cioci“, odwiedzała codziennie Walczaka, przynosiła mu kwiaty, owoce, papierosy, czytała mu książki i gazety, rozmawiała z nim godzinami.

Sprytny Jurek Legionista, „wymyszkował“ już, do kogo dąży codziennie pani Wolska i dlaczego przestała odwiedzać innych prawie zupełnie.

— Oho „nasza ciocia“ — dowcipkował — zapomniała już o swych siostrzeńcach... Znalazła sobie ładnego oficera i na innych ani nie spojrzy...

Panna Rasińska zgromiła chłopca surowo za tę uwagę, ale w głębi ducha myślała to samo.

A te odwiedziny były dla pani Krystyny coraz milsze, coraz więcej upragnione, stały się w końcu jakby niszbędną potrzebą jej codziennego życia.

Kiedy pewnego dnia przyjść nie mogła, to zdawało się jej, że dzień zmarnowała, zmarnotrawiła i nie mogła sobie poprostu znaleźć miejsca.

W swoich sferach towarzyskich niewielu spotykała pani Krystyna mężczyzn tego pokroju, co Walczak. To też zachwycała ją wielka inteligencya mło dzieńca, trafne jego spostrzeżenia, zdradzające głęboki i bystry umysł.

Czasem jednak nie słyszała nawet tego, co mówił, zasłuchana w melodyę dźwięcznego głosu Walczaka, zapatrzona w grę jego wyrazistych rysów.

Ranny czuł się coraz lepiej, rany jego goiły się nadspodziewanie szybko, odzyskiwał więc humor i chęć do rozmowy.

Opowiadał pani Wolskiej rozmaite przeżycia swoje z wojny, odgrzebywał wspomnienia lat dziecinnych i wczesnej młodości.

Pewnego razu, mówiąc o swem zamiłowaniu do studyów technicznych, powiedział, że ojciec jego był ślusarzem.

I dziwna rzecz! Pani Krystyna nie oburzyła się ani przestraszyła! Ona, która z takim uporem i oburzeniem odpychała możliwość małżeństwa Anielki z jakimś elektrotechnikiem, synem ślusarza, teraz zapomniała o swoich uprzedzeniach.

Przeciwnie, uważała, że przywiązanie, z jakiem wykształcony młodzieniec mówi o swoim ojcu rzemieślniku, ma w sobie coś dziwnie rozczulającego.

Dziwiła się wprawdzie trochę w duchu, że człowiek z „niższej sfery“ może być tak inteligentnym, dystyngowanym, dobrze wychowanym — może mieć tak delikatne, szlachetne rysy i tak kształtne ręce, znajdowała jednak, że w tem właśnie tkwi pierwiastek interesujący.

W podświadomości jej błąkała się myśl, że wszystko składa się, jakby w jakiejś angielskiej powieści...

Względem siostrzenicy odczuwała pani Wolska teraz wyrzuty sumienia. Przechodziło jej nieraz przez myśl, że uporem swoim i przesądami towarzyskimi zatruła Anielce jej wiośnianą miłość, która skończyła się tak nagle i tragicznie.

— Trudno, stało się — tłomaczyła sobie — narzeczony Anielki nie żyje, nie da się więc to naprawić... No jest Montwiłł, może go pokocha...

Wikcia podała leguminę. Dopiero wówczas zdecydowała się pani Krystyna przerwać panujące przy stole milczenie, które zaczynało być męczącem.

— Myślę i myślę nad tem — rzekła — gdzie i do kogo zwrócić się o tego rządcę...

Anielka wzruszyła ramionami bez słowa odpowiedzi.

— Cóż to znowu za ruszanie ramionami, moja Anielko?! Gdzie się tego nauczyłaś?!

— Nie mogę cioci nic poradzić... Gdybyśmy pojechały do Zalesinek, to tam napewno możnaby wyszukać jakiego zdolnego i uczciwego człowieka... Ale tutaj w Pradze bardzo wątpię, czy będzie można znaleźć jakiego rządcę...

— Już się ty o to nie kłopocz — odpowiedziała ciotka — poszukam i znajdę sama...

Zegar w tej chwili wydzwonił w pół do trzeciej.

Pani Krystyna z brzękiem rzuciła łyżeczkę na telerzyk z niedokończoną porcyą leguminy.

— Tak późno! Już wpół do trzeciej! — zawołała — a pan Kazimierz czeka.

Anielka drgnęła.

— Kto? kto?! Jaki pan Kazimierz?!

— To ranny oficer, którego odwiedzam w szpitalu — odpowiedziała ciotka, pospiesznie wstając od stołu.

— Ach, tak!...

Prawda, ileż to na świecie Kazimierzów, którzy dźwiękiem imienia przypominać będą tego, którego już niema...

Pani Krystyna chciała ubrać się spiesznie, nie mogła jednak prędko zdecydować się na wybór kapelusza i sukni. Wahała się, czy ubrać się jasno, stosownie do pięknego, słonecznego dnia letniego, czy też włożyć czarną suknię i wielki czarny kapelusz, w którym jej było tak do twarzy... Może jednak w czerni wygląda trochę za poważnie, za staro...

Nie jest przecież jeszcze babką, by miała robić ze siebie matronę...

Z drugiej strony te jasne pastelowe barwy czy nie będą zwracały uwagi, czy nie posądzi jej ktoś o chęć umyślnego odmładzania się, tak jakby ona już była doprawdy starą...

Czy tak lepiej, czy tak...

Pani Krystyna wpatrzyła się w wielką, lśniącą taflię zwierciadlaną, pytając lustra o radę...

— — — — — — — — — — — — —

Kiedy tylko obie panie wyszły z domu, Wikcia natychmiast zarzuciła szal na ramiona, wybiegła na ulicę i wskoczyła w tramwaj, idący w stronę Smichowa.

Tam na Smichowie, w wązkiej, ciemnej, poprzecznej uliczce, odnajmowali Potyrowski i Ignac dwa łóżka od jakiejś praczki, wielkiej, tęgiej, swarliwej i wiecznie cuchnącej mydlinami baby.

Nie imponował jej wcale ani cylinder Potyrowskiego, ani jego podniszczona elegancya, ani nawet francuskie frazesy, które wtrącał do rozmowy, aby ją olśnić. Domagała się bezwzględnie, aby jej lokatorowie regularnie płacili za „byt“ i pod tym względem nie dała się nakłonić do żadnych ustępstw.

Gdyby nie Wikcia, byliby się już obaj towarzysze niedoli nieraz znaleźli na bruku. Dziewczyna dawała teraz pieniądze nietylko Ignacowi, ale i Potyrowskiemu, a oni brali je od niej z minami wielkich panów, jakgdyby nie ona im, ale oni jej łaskę wyświadczali.

Potyrowski i tym razem jeszcze zapanował nad sytuacyą — umiał zręcznie wykorzystać dla siebie namiętność wikci dla Ignaca.

Oczywiście Wikcia, aby zaspokoić ich wymagania, musiała odpowiednio „zarabiać“ przy sprawunkach, ale niepraktyczna pani Krystyna, zajęta zresztą czem innem, mało wglądała w sprawy gospodarskie i nie poznała się na tem.

Wikcia, zasłyszawszy rozmowę pań o rządcy, domyśliła się, że ta nowina zajmie Potyrowskiego i pospieszyła z tą wiadomością na Smichów.

Nie omyliła się. Potyrowski wysłuchał jej opowiadania uważnie, oczy zaiskrzyły mu się złym ogniem a na znak wzruszenia grzmotnął tak mocno pięścią w stół, że aż gospodyni praczka zaprotestowała:

— Prosim vas pane, to néni vaš stol.

Potyrowski nie chciał jednak mówić przy Wikci, podziękował jej więc protekcyonalnie za wiadomość, zapytał dziewczynę, czy nie ma „drobnych“, a potem odesłał ją czemprędzej z powrotem do domu.

Kiedy Wikcia zniknęła za drzwiami, Potyrowski zwrócił się do Ignaca:

— Ignac! uważasz, jest interes!

— Gdzie? Jaki interes?!

— Złoty interes, mówię ci!

— E! złoty tam, żeby to chociaż niklowy był, bo żeby nie ta Wikta, toby i niklu brakowało!

— No już, jak ja ci mówię, że złoty!

— Nie wierzę ja w twoje interesy! Takiś wielki hrabia, elegant, po francusku parlujesz, a z tą bo gatą wdową co? Klapa, figa, koniec!

— No, nie udało się, ta siostrzenica przeklęta zepsuła wszystko... Mój drogi, ty tego nie rozumiesz, ale największemu człowiekowi może się coś nie udać, zwłaszcza kiedy mu kobieta w drogę wejdzie... I Napoleon upadł przez kobietę...

— E! nie zawracaj!...

— Ale to nic, ja się na tych babach zemszczę i obaj zarobimy przy tem grube pieniądze!...

— Iii... dużo im ta zrobisz, a w te grube pieniądze, to ja nie wierzę... Jakby tam można było coś zarobić naprawdę, tobyś się ty napewno nie chciał ze mną dzielić... Jakeś wtedy tego krakowskiego radcę „oskubał“, dużo z tego miałem?!

— Ignac, nienasycony człowieku, nie dałem ci to czterech koron?!...

— No także pieniądze! Cztery korony! A tyś się najadł, napił i kabzę porządnie nabiłeś...

— Jak ty się zupełnie nie oryentujesz — ubolewał Potyrowski — to ty myślisz, że taki radca krakowski, to on krocie ze sobą wozi... To dziady! powiadam ci... Dawniej anibym się z takim nie wdawał... Zresztą on mi pożyczył pewną drobną kwotę na słowo honoru i to ja ją będę musiał zwrócić...

— Słuchaj, czy ty mnie za głupiego masz? Zdaje ci się, że z twoimi „frajerami“ mówisz, czy co?! Chociaż i oni już się na tobie poznali...

— Ignac, przeszkadzasz mi, mącisz mi wątek myśli — nie mogę jasno rozumować... Mówię ci, zamknij gębę i słuchaj tego, co powiem... Słyszałeś, co Wikta opowiadała?

— Ano słyszałem.

— Ale nic z tego nie wiesz, naturalnie. Słuchaj powiem ci krótko — one są w kłopocie, szukają rządcy, będzie im bardzo trudno znaleźć go w Pradze, więc ty zostaniesz tym rządcą!

— Ja?! — wykrzyknął zdumiony Ignac, przekonany, że Potyrowski chyba zwaryował.

— No tak, ty, bo ja nie mogę... Na nieszczęście znają mnie... Zostaniesz rządcą, każesz sobie porządnie zapłacić, pojedziesz do tego galicyjskiego majątku i będziesz gospodarował... Już ja ci wszystko powiem, co masz zrobić .. Będziesz pisał, że wszystko zniszczone, że trzeba wkładów, pieniędzy i jeszcze pieniędzy... Naturalnie musisz mnie oddać uczciwie moją część... Ja zresztą będę działał na swoją rękę... Jak ty wyciśniesz z baby pieniądze i sprzykrzy się jej to gospodarowanie, wtedy ja podsunę kupca, który majątek kupi i nam dobrą prowizyę zapłaci... Kupca już mam...

Ignac słuchał z otwartemi ustami. Pomysłowość i pewność siebie Potyrowskiego znowu mu zaimponowała.

— Ty jednak masz głowę — rzekł z uznaniem — tylko jak to wszystko zrobić... Jak ja się dostanę do tej pani, kto mnie poleci, kiedy ty tam nie możesz nosa pokazać po tem, jak się wydało z tą głupią Antoniową...

— Poradzimy sobie... Znam jednego młodzieńca, który tam bywa, a on zrobi wszystko, co zechce... On cię poleci...

Potyrowski myślał o Koncewiczu, z którym utrzymywał ciągle przyjazne stosunki i zaciągał od niego drobne pożyczki. Koncewicz zmienił się radykalnie w stosunku do Potyrowskiego, uważał „inżyniera“ za człowieka wielce dystyngowanego i ofiarę nieszczęsnych stosunków wojennych.

Potyrowski był zresztą nieocenionym przewodnikiem po nocnem życiu Pragi i kiedy tylko papa starosta nadesłał pieniędzy, było im obu dobrze ze sobą.

Koncewicz pomimo, że doszedł sam już do wniosku, że ręki Anielki nie otrzyma, bywał jeszcze niekiedy u pani Wolskiej. Potyrowski zamyślał więc ograniczonego i niedomyślnego młodzieńca użyć za pośrednika.

Ignac długą chwilę rozmyślał nad świetną perspektywą dobrej posady i wielkich dochodów.

Wahająco rzucił wreszcie:

— Tylko czy ja potrafię udawać tego rządcę?

— No wiesz, nie sądzę, byś był takim gamoniem, abyś nie potrafił zagrać roli jakiegoś tam rządcy... Zresztą powtarzam ci, że cię nauczę, co masz mówić, co robić, jak się ruszać...

— A jak będą pytać o papiery, o świadectwa?

— No to powiesz, żę się spaliły podczas ewakuacyi... Zresztą co się tam ona na tem rozumie...

— A ten kupiec, o którym mówiłeś — to Goldfisz, prawda?

— To już nie twoja sprawa... Wszystko jedno, ten czy tamten, byleby dobrą dał prowizyę...

— — — — — — — — — — — — —

Gmach dyrekcyi policyi na ulicy Bartolomejskiej był formalnie oblężony.

Ruchliwą czarną falą cisnął się tłum zatłuszczonych chałatów, a wśród nich widniały jasne bluzki kobiece — letnie marynarki mężczyzn, mundurki gimnazyalistów.

Obok mizernych, wynędzniałych, byle jak ubranych kobiet, stały eleganckie panie w nowiutkich kostyumach letnich, różowe panienki w powiewnych sukienkach — tłoczyli się, popychali razem mężczyźni przeróżnych sfer i zawodów, starsi i młodsi. Byli tam i robotnicy z grubemi, spracowanemi rękami i zżółkli, zasuszeni w pracy biurowej urzędnicy i dobrze zakonserwowani, solidni, dobrze ubrani panowie i jacyś ludzie o twarzach inteligentnych, nerwowych, przesubtelnych — byli tam chłopcy w zuchowatych, granatowych maciejówkach i młodzi artyści w fantastycznych, szerokich kapeluszach i młodzieńcy z białymi miękkimi kołnierzami wykładanymi á la Byron, czy á la Słowacki. Jednem słowem cała mozaika typów i postaci.

Byli to wszystko wychodźcy z Galicyi, którzy na wieść o odebraniu Rosyanom Lwowa cisnęli się do gmachu dyrekcyi policyi praskiej, aby uzyskać

pozwolenie na wyjazd. Ubożsi pragnęli otrzymać kartę bezpłatnej jazdy koleją.

Cały ten tłum różnolity zespolony był jednem jedynem pragnieniem: wrócić, jak najprędzej wrócić do domu! Nie obawiali się zniszczenia, chorób, zarazy, drożyzny, nie lękali się niczego, chcieli tylko wrócić na swoją ziemię.

— Niech pan patrzy — zawołał młody na literata wyglądający mężczyzna, ze szczupłą, ściągniętą twarzą, okoloną jasnym zarostem — jak ci nasi ludzie, rozgorączkowani pragnieniem powrotu, zadają kłam przypuszczeniom i obawom obcej prasy, która przez jakiś czas rozpisywała się szeroko na ten temat, że fala wychodźtwa polskiego, która zalała ziemie czeskie i niemieckie kraje Austryi, może nie zechce odpłynąć. Płonne obawy „gościnnych" panów. Kto tylko będzie mógł, wyjedzie. Choćby na nędzę, na biedę, na chorobę, ale powróci.

Towarzysz szczupłego blondyna, poważny, siwiejący mężczyzna, skinął głową.

— Tak, tak, ma pan racyę. Wartoby o tem do dzienników napisać. Niech pan, panie kochany napisze.

— Postaram się.

Przez tłum przeciskał się z powrotem stary Gilewski.

Pomimo, że dzień był ciepły, słoneczny, prawdziwy letni, miał on na sobie swoje zniszczone palto zimowe. Widocznie ubranie jego nie znosiło jasności dnia.

W tej chwili twarz Gilewskiego nacechowana była wyrazem rozpaczliwego smutku. Nie trudno było odgadnąć, że starego artystę spotkała jakaś wielka przykrość.

— Panie Gilewski — zawołał ów szczupły, jasnowłosy literat — cóż u pana słychać? Dawno nie widzieliśmy się? Czy i pan już wyjeżdża?

Gilewski przesunął ręką po oczach silniej niż zwykle zaczerwienionych.

— Chciałem panie wyjechać — rzekł drżącym głosem — ach! Jak ja bardzo chciałem, ale nie pozwolili mi...

— Dlaczego?

— Królewiak jestem, więc internowany...

— Ach! Prawda...

Stary kiwał smutnie głową.

— Już mi tu chyba umrzeć przyjdzie na obcej ziemi, już może nie zobaczę naszych łanów, dojrzewających zbóż, nie podumam w cieniu katedry Wawelskiej, nie posłyszę hejnału z wieży Maryackiej... Zostanę tutaj jak pies bezpański, samotny, opuszczony... Nie pozwolili... No tak, taki przepis... Słyszałem jednak, że niektórzy Królewiacy otrzymali pozwolenie. Wspomniałem o tem urzędnikowi na policyi... Odpowiedziano mi, że tylko tacy, którzy mają stałe zarobki i zajęcie... Prawda, ja stałego zarobku to nigdy nie miałem, a zajęcie, pożal się Boże, co to za zajęcie... Chodzić po redakcyach i smarować illustracye na obstalunek. Nic dziwnego, że policya nie pozwoliła... Mógłbym przecież, panie tego, ciężarem być... Chociaż gdybym był młodszy, energiczniejszy i umiał chodzić za tem... lub gdybym miał jakąś protekcyę...

— O protekcyę można się będzie postarać! — wtrącił skwapliwie blondyn.

Gilewski energicznie wstrząsnął przecząco głową.

— O! Nie panie! Nie chcę protekcyi. Będę czekał, dopóki się co nie zmieni, albo śmierć po mnie nie przyjdzie... Aha! Prawda, przypomniałem sobie... Opowiem panu coś... Bo to pan radził mi kiedyś, abym się udał po jakąś zapomogę, protekcyę, czy coś podobnego. Opowiem panu więc, co mnie spotkało. Czy pan czeka tutaj na kogo?

— Właściwie nie.

— To może pójdziemy ku miastu. W drodze opowiem panu.

— Wie pan — zaczął swoje opowiadanie Gilewski — to było tak. Dowiedziałem się, że tam do tego „komitetu pomocy" przysłano ze Szwajcaryi większą sumę dla niezamożnych artystów-malarzy polskich, przebywających w Pradze. Wprawdzie z artyzmem to już człowiek dawno zerwał, ale przecież kiedyś malowało się coś naprawdę, podobno nawet nieźle, ludzie nazywali i gazety pisały „artysta-malarz", więc poszedłem. Głupstwo zrobiłem przyznaję... No, spodlał człowiek w tej biedzie... Poszedłem... Widzę siedzi sobie tam przy stole jakiś siwy, chudy pan z taką twarzą, co to w niej ani wyrazu, ani kolorytu, ani rysunku. Ano nic, myślę sobie, przecie nie model dla malarza. Opowiedziałem mu wszystko, po co przyszedłem, a on patrzy we mnie takim jakimś tępym wzrokiem i nie mówi nic. Gdyby mi był powiedział: „Panie, jesteś pan nędzny rzemieślnik, a nie żaden artysta malarz, zgoda. Gdyby mi był powiedział: „zapracuj pan, jeszcze masz siły i zdrowie, te pieniądze to dla nieszczęśliwszych od ciebie", zawstydziłbym się i odszedłbym cicho. Ale wie pan, co mi powiedział?!

— Ciekaw jestem.

— Pyta się mnie, skąd jestem. „Z Polski naturalnie", powiadam. „Ale ja pytam: z jakich okolic?" „Przed wojną mieszkałem stale w Krakowie". „A to pan przynależny do Krakowa?" pyta on dalej. „Nie, mówię, bo jestem Królewiakiem, pochodzę z ziemi kieleckiej". A on mi na to: „A kiedy tak, to pan nic dostać nie może. My dla Królewiaków nie mamy. My mamy dość swoich z Galicyi".

— Osioł! — wykrzyknął oburzony towarzysz Gilewskiego.

— Osłupiałem w pierwszej chwili, myślałem, że mnie uszy mylą. Wreszcie złość we mnie zawrzała. Miałem już tego dosyć, więc pytam ja z kolei: „Czy wolno zapytać, kim pan jest?" Spojrzał na mnie, jak na waryata i z irytacyą odpowiedział: „Ta co się pan pyta, jestem radca Spiączka". „Ale ja pytam o narodowość?" „Ta zwaryował pan czy co! Naturalnie, że Polak". „Tak? Polak? — ja mu na to — Nigdybym tego nie przypuścił, w każdym razie nie jeden z tych, którzy łamią rękę, wołając: „nie mogę znaleźć drogi do Polski", bo pan już znalazł swoją Polskę!" Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. A niechże ich z ich pomocą, zapomogami, protekcyami i rozróżnianiem Polaków galicyjskich i nie galicyjskich!

— Ależ panie! Toż nie wszyscy tacy! Że też właśnie trafił pan na tego starego idyotę Spiączkę, który zesztywniał zupełnie, zeskorupiał w swoim dogmatyzmie biurokratycznym.

— A niech tam! Wszyscy czy nie wszyscy... Już ja do nich po żadną protekcyę ani pomoc nie pójdę... Tylko, panie, ja jechać chciałem... do Polski... do Krakowa... Nie pozwolili!

— — — — — — — — — — — —

— Pozbyłam się kłopotu — rzekła pani Krystyna wieczorem do siostrzenicy — mam już nowego rządcę.

— Tak prędko? — zdziwiła się Anielka — Gdzie go ciocia znalazła? Kto to taki? Kto go polecił?

— Bardzo przyzwoity człowiek z odpowiedniemi kwalifikacyami. Polecił mi go Koncewicz, on jako agronom jest kompetentny.

— Hm... Koncewicz...

— O! Moja Anielko, już widzę, że znowu chcesz oponować. Ale nic z tego! Ja jestem taka szczęśliwa, że już mam tego rządcę. Gdzie ja mam czas myśleć o takich rzeczach.

Istotnie, jakże mogła pani Krystyna zaprzątać sobie głowę rządcą i gospodarskimi kłopatami, kiedy myśl jej pracowała nad tem, jakby najpiękniej i najartystyczniej skombinować bukiet z róż dla Walczaka, który dzisiaj powiedział, że róża to jego kwiat ulubiony.

Anielka westchnęła cichotko. Ze znalezieniem rządcy rozwiała się jej ostatnia nadzieja, że uda się nakłonić ciotkę do rychłego powrotu do Zalesinek.

ROZDZIAŁ XVIII.

— Jasiek!

— Kazik!

— To ty?!

— Żyjesz?!

— Jak widzisz!

Takie wykrzykniki krzyżowały się z błyskawiczną szybkością, kiedy Jan Krzycki zjawił się u łóżka przyjaciela swego Kazimierza Walczaka.

Z pułku doniesiono mu, że chorąży Walczak żyje i znajduje się w szpitalu w Pradze. Krzycki czem prędzej więc odszukał przyjaciela.

Przybycie Krzyckiego przerwało czytanie pani Krystynie, która właśnie bawiła rannego głośną lekturą tryskającej iście amerykańskim dowcipem humoreski Twaina.

Pani Wolska, widząc serdeczne powitanie przyjaciół, podniosła się natychmiast z krzesła.

— Nie chcę przeszkadzać — rzekła — w poufnej przyjacielskiej pogawędce, więc odchodzę. Do widzenia, panie Kazimierzu, proszę tylko nie mówić zbyt dużo, żeby gorączka nie wróciła...

— Dziękuję pani za czytanie i za kwiaty i za wszystko — rzekł serdecznie Kazimierz — Pani przyjdzie jutro, nieprawdaż?

— Przyjdę.

Niebieskie, wypłowiałe już nieco oczy pani Krystyny obrzuciły głowę Kazimierza tak tkliwem spojrzeniem, że nie mogło to ujść uwagi spostrzegawczego Krzyckiego.

Porucznik uśmiechnął się lekko.

Kiedy pani Wolska zniknęła za drzwiami, Krzycki zagadnął zaraz przyjaciela:

— Czy ta pani często cię odwiedza?

— Codziennie prawie. To anielska jakaś istota. Poprostu psuje mnie swoją dobrocią. Przynosi mi kwiaty, owoce, ciastka, książki, gazety — czyta mi głośno, jednem słowem otacza mnie tak troskliwą opieką, jakbym był jej bliskim krewnym... Doprawdy nie wiem, czem sobie zasłużyłem na tyle troskliwości z jej strony...

— Tak... A czy wiesz, kto to jest?

— Niejaka pani Wolska, właścicielka ziemska. Więcej nic nie wiem prócz tego, że jest idealnie dobra.

— Czy jej nazwisko nic ci nie mówi?

— Nie. Skądżeby. Wolscy to nazwisko u nas tak pospolite, jak w Niemczech Müller lub Kunze, czy też jakieś szlacheckie von Arnim.

— Więc ty jej poza szpitalem nie znasz zupełnie?

— Nie, ale dlaczego mnie wypytujesz o to?

— Tak sobie... byłem ciekawy...

— Powiedz mi jednak, mój Jaśku — zaczął Kazimierz — jakim cudem dowiedziałeś się, że żyję i tutaj w Pradze w tym szpitalu przebywam?

— Dowiedziałem się tego drogą bardzo prostą. Zwrócono mi na to uwagę, że twoje przeczucia śmierci mogły być zawodne!... Napisałem więc do pułku, zapytując o ciebie... Nie odpisywali mi długo, nareszcie przedwczoraj otrzymałem twój adres... Odszukałem cię i jestem...

— Powiedz mi, co się stało...

— Pozwól, że ci przerwę — wpadł mu w mowę Jan — Wiem, że czego innego chciałbyś się odemnie dowiedzieć, ale ja jak wiesz, byłem zawsze egoistą, więc zacznę znowu tym razem od siebie. Kaziu, wyobraź sobie, że ja żenię się i to już w najkrótszym czasie.

— Co?! Ty się żenisz, Jaśku! Co za nowina! Z kim?!

— Kaziu, czy pamiętasz moje zwierzenia owej nocy pamiętnej przed bitwą, w której obaj zostaliśmy ranni?

— Ależ pamiętam każde słowo!

— Więc z nią!

— Odnalazłeś ją, nie zapomniała? przebaczyła?

— Odnalazłem ją. nie zapomniała, przebaczyła — powtórzył jak echo Krzycki — Miałeś słuszność, Kaziu, nie wszystkie kobiety są jednakowe...

— O wiem o tem... I moja Anielka... Jaśku, chyba nie wątpisz o najszczerszych życzeniach moich... Chciałbym bardzo poznać twoją narzeczoną, przyjdź z nią do mnie... Ja jeszcze długo pewnie nie będę mógł wychodzić... Ale teraz proszę cię, powiedz mi, czy otrzymałeś drobiazgi, które ci przez pewnego żołnierza posłałem.

— Otrzymałem — odparł krótko Krzycki.

— I cóż z nimi zrobiłeś?

— Przesłałem je tej, dla której były przeznaczone...

— Więc odszukałeś ją?!

— Przypadkiem.

— Gdzie ona jest?! Jaśku, mów?!

— Kaziu, spokoju! Nie gorączkuj się, a wszystko ci powiem... Ona jest tutaj w Pradze.

Kazimierz zerwał się na łóżku.

— Co?! co?! Anielka tutaj w Pradze?! I ty mi tego odrazu nie powiedziałeś! Więc poznałeś ją?

— Osobiście nie!

— Jakto nie! Więc jakim sposobem oddałeś jej te rzeczy! Jaśku, ty się bawisz w jakieś zagadki, a mnie to męczy!

— Proszę cię, uspokój się, połóż się, bo możesz sobie zaszkodzić. Opowiem ci wszystko od początku.

Jan poprawił poduszki Kazimierzowi, który osłabiony zsunął się znowu na posłanie.

— Więc przedewszystkiem — zaczął Krzycki — zdradzę ci jedną tajemnicę, która, przypuszczam, że cię zainteresuje: Otóż dowiedz się, że ta tak łaskawa na ciebie pani, która cię codziennie odwiedza, to ciotka panny Anielki Żurakowskiej.

— To ciotka Anielki?! Jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy. Znam panią Wolską dobrze z widzenia.

— Ależ ona chyba nie wie, kim ja jestem!

— Najprawdopodobniej, a właściwie z wszelką pewnością — nie! Nie widzę też powodu, dla którego miałbyś jej to mówić. Jak sam mi wspominałeś, sprzeciwiała się ona twoim zaręczynom z jej siostrzenicą i nie chciała cię nawet poznać. Słyszałem już tutaj w Pradze od dobrze poinformowanych osób — Krzycki miał na myśli Hankę i Stasię — że usposobienie jej względem ciebie wcale się nie zmieniło.

— Pani Wolska okazuje mi wiele, bardzo wiele sympatyi...

— Powiem otwarcie, że jak na ciotkę i opiekunkę dorosłej siostrzenicy, to nawet za wiele...

— Jak to rozumiesz?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wystawa szkolna w Wieliczce.

Rok szkolny 1916 zakończyła Dyrekcya szkoły wydziałowej żeńskiej imienia królowej Jadwigi w Wieliczce wystawą prac swych uczenic. — Podzielono ją na siedm oddziałów, które obejmowały: prace rysunkowe, roboty krzyżykowe, białe szycie, kwiaty sztuczne, prace kilimkarskie, kartoniarstwo i modelowanie. Efekt, dzięki staraniom kierownictwa i grona nauczycielskiego, przeszedł oczekiwania, wystawa, pierwsza tego rodzaju w Wieliczce, wypadła wspaniale. budząc ogólny podziw i uznanie.

Dyrekcya szkoły dała w ten sposób do poznania, że stara się nie tylko o umysłowe wykształcenie uczenic w myśl istniejących przepisów, ale także i o danie im sposobności przyswojenia sobie biegłości w lekkiej pracy fizycznej, która dla niejednej z nich



Wystawa szkolna w Wieliczce: Główna sala wystawy.



Albania w czasie wojny: Wyładowywanie żywności w porcie albańskim.

może się stać kiedyś źródłem wcale pokaźnych dochodów. Patrząc na szereg eksponatów, nieraz wierzyć się nie chciało, że wyszły one z pod rąk uczenic szkoły wydziałowej, więc prawie dzieci, a nie zawodowych robotnic.

Przykład to dla innych szkół godny naśladowania. Zajęcia praktyczne nie kolidują wcale z pracą umysłową w zakresie przepisanym instrukcyą, przyczyniają się nadto do zaciśnięcia tem silniejszego węzłów, jakie łączyć powinny grono nauczycielskie i młodzież, jego pieczy powierzoną.

Tarcza Legionów w Chrzanowie.

W niedzielę dnia 25 czerwca odbyła się w Chrzanowie piękna uroczystość odsłonięcia „tarczy Legionów“ powiatu chrzanowskiego, połączona z obchodem Trzeciego Maja, na ten dzień również odłożonym. — W obchodzie wzięli udział nie tylko mieszkańcy Chrzanowa, ale i przedstawiciele wielkich zakładów przemysłowych, znajdujących się w powiecie, a także i gmin okolicznych.

Uroczystość rozpoczęła się rano nabożeństwem w miejscowym pięknym kościele parafialnym, na którem ks. Sosin z Jaworznia wygłosił podniosłe, patryotyczne kazanie. Po nabożeństwie rozwinął się okazały pochód w stronę boiska sokolego, gdzie właśnie miało się odbyć odsłonięcie tarczy. Pochód stanowiła młodzież szkolna miejscowa i zamiejscowa, miejscowe korporacye, zwłaszcza zaś Powiatowy Komitet Narodowy, Koło Ligi kobiet, górnicy z Sierszy i Jaworznia wraz ze swą kapelą, straż ogniowa, naczelnicy gmin i delegaci w swoich odznakowych łańcuchach, wreszcie przedstawiciele Radv powiatowej z marszałkiem hr. Edwardem Mycielskim i vice-marszałkiem Schimitzkiem na czele. Sam akt odsłonięcia tarczy poprzedziły piękne prze-



Wystawa szkolna w Wieliczce: Sala przeznaczona na wystawę sztucznych kwiatów.





Albania w czasie wojny: Budowa kolejki przez austryackie władze wojskowe.



Tarcza Legionów w Chrzanowie: Uroczystość odsłonięcia tarczy

mówienia marszałka hr. Mycielskiego, delegata Naczelnego Komitetu Narodowego prof. Maurycego Straszewskiego i posła ziemi chrzanowskiej dra Ignacego Wróbla, oraz występy chóru męskiego i kapeli.

Jedna illustracya nasza przedstawia uroczystość podczas przemówienia hr. Mycielskiego; w głębi po prawej stronie znajduje się tarcza jeszcze zasłonięta. Na drugiej zaś widzimy samą tarczę. Wielkości 2 m. 50 cm., zrobiona z dębowego drzewa, przedstawia wielkiego orła białego, wykutego z żelaza, projektu inżyniera Studnickiego z Sierszy. — I tło tarczy i samo wyobrażenie orła podzielone jest na pojedyncze pola, opatrzone nazwami gmin całego powiatu; pola te mają być wybite gwoździami przez odpowiednie gminy. Dla ułatwienia tego urządzono całą tarczę w ten sposób, że daje się doskonale rozłożyć na owe wspomniane pola, które zostały potem rozesłane do gmin do wypełnienia.

Przez cały przytem dzień odbywała się zbiórka na cele patryotyczne, której efekt dzięki niestrudzonej pomocy członkiń Ligi kobiet wypadł bardzo okazale. I tak na cele „tarczy Legionów“ zebrano dwa tysiące pięćset koron, na Związek Ligi kobiet pięćset koron, na Towarzystwo Szkoły Ludowej dwieście czterdzieści siedm koron.

Lwowiacy na froncie.

Polskie pułki, rekrutujące się w Galicyi, okryły się już zasłużoną sławą. Obok krakowskich „trzynastaków“, którzy mają już tak chlubną kartę w obecnej wojnie, zapisał się także świetnie w walkach na różnych frontach lwowski pułk piechoty pospolitego ruszenia Nr. 19. Jego męstwo i dzielność bojowa, tak samo jak i innych pułków galicyjskich, została też nagrodzona licznemi odznaczeniami zarówno oficerów, jak i żołnierzy.

Jedna z naszych fotografii przedstawia właśnie grupę odznaczonych srebrnymi i bronzowymi medalami waleczności, jako też srebrnymi krzyżami zasługi żołnierzy „wojskowego oddziału robotniczego Nr. 51“, utworzonego z lwowskiego pułku pospolitego ruszenia Nr. 19. Dekoracyi dokonał komendant tegoż oddziału porucznik dr. Adolf Bednarowski. W dniu 11 go kwietnia b. r. po raz czwarty od-



Albania w czasie wojny: Kobiety albańskie w odświętnych strojach



Albania w czasie wojny: Kolejka na wybrzeżu albańskiem, wybudowana przez austryackie władze wojskowe.



Na włoskim froncie: Bomba rzucona bez skutku na pozycye austryackie przez włoskiego lotnika.

była się taka uroczystość w tym oddziale, który wykonuje służbę saperską ciągle w przedniej linii od samego początku wojny. Za swą gorliwą i pożyteczną pracę otrzymał oddział dotychczas przeszło dwadzieścia różnych odznaczeń za waleczne zachowanie się wobec nieprzyjaciela.

Prócz tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze epizod z walk lwowskiego pułku — patrol w śniegowych płaszczach.



Lwowiany na froncie: Odznaczeni żołnierze wojskowego oddziału robotniczego Nr. 51, utworzonego z lwowskiego pułku piechoty

Smierć na polu chwały.

Do długiej listy poległych na polu chwały przybył znowu ś. p. Józef Żółciński. Urodzony w roku 1894 w Bochni, gdzie uczęszczał do szkół początkowych i średnich, wstąpił jako jednoroczny ochotnik do 57 pułku piechoty w Tarnowie, gdzie go zaskoczyła zawierucha wojenna. Znajdując się od początku wojny na polu walki, dosłużył się rangi chorążego, a za waleczność odznaczony został srebrnym medalem walecznośai I. klasy. Był w bitwach pod Kraśnikiem, Lublinem, odbył także kampanię karpacką. Pędząc wroga z pod Gorlic, został ranny w nogę pod Jarosławiem, skąd odwieziono go do szpitala. Po wyleczeniu z rany został wysłany wraz z kompanią powtórnie na pole walki w Galicyi. Lubiany przez żołnierzy, był dla nich prawdziwym opiekunem i tak ich do siebie przywiązał, iż każdy gotów był za niego życie oddać.



Albania w czasie wojny: Wybrzeże albańskie.

W początkach ofenzywy rosyjskiej, prowadząc kilkakrotnie żołnierzy do szturmu, wychodził szczęśliwie z niebezpieczeństw. — Wreszcie dnia 14 go czerwca, jako komendant kompanii, prowadząc do szturmu swych zuchów, został ugodzony kulą karabinową w czoło. — Ciężko rannego przywieziono do szpitala w Miszkolc na Węgrzech, gdzie przemęczywszy się jeszcze kilka dni, zasnął snem wiecznym w dniu 25 go czerwca.

Cześć jego pamięci!

Na włoskim froncie.

Ofenzywa austryacka postępuje na południowozachodnim froncie nieco wolniej, niż poprzednio,



Śmierć na polu chwały: Ś. p. chorąży Józef Żółciński

w każdym przecież razie Włosi dotąd nie mogą się wykazać żadnymi zupełnie sukcesami, chyba, że do wawrzynów, mających ozdobić ich sztandary, zaliczyć zechcą zbombardowanie Gorycyi i pozbawienie dachu nad głową tysięcy ludności, przeważnie włoskiego pochodzenia, lub obrzucenie bombami spokojnej Lublany. Z jakiemi trudnościami mają do walczenia nasze wojska w tamtych stronach, wspominaliśmy już w poprzednich numerach i poprzednio podaliśmy illustracye przedstawiające uciążliwą pracę rozsadzania skał przy budowie rowów strzeleckich i podziemnych schronisk. Nie wpływa to bynajmniej na obniżenie energi walczącej armi, owszem, w miarę mnożących się przeszkód, rośnie zapał walecznych naszych zastępów, które nie wątpią, że ich udziałem będzie ostateczne zwycięstwo.

Wystąpienie Włoch, które za namową koalicyi zerwały nici łączące je z mocarstwami centralnemi, miało być odciążeniem dla rosyjskiego frontu, nie



Tarcza Legionów w Chrzanowie: Tarcza po uroczystości odsłonięcia.



Na włoskim froncie: Pogrzeb żołnierza, poległego na polu chwały.

ulegało to bowiem kwestyi, że Austrya będzie zmuszoną rzucić na południowo-zachodni teren operacyjny potężne siły. I tak się też stało. Koalicya zawiodła się, gdyż nie wpłynęło to zupełnie na osłabienie akcyi wojennej na wschodzie, gdzie właśnie teraz wre walka ze wzmożoną siłą, a szala zwycięstwa przechyla się coraz bardziej na naszą stronę, choć rosyjski sztab jeneralny, nie żałując materyału ludzkiego, wysyła setki tysięcy ludzi na pewną zgubę. Ta jednak różnica między obu zmagającemi się armiami, że gdy tam do ataku pędzą azyatyckie hordy nahaje i własne armaty, u nas natomiast panuje zapał i pewność, że zwyciężyć musi słuszna sprawa.

Wobec nowej rosyjskiej ofenzywy spodziewali się Włosi, że uda im się teraz bodaj osiągnąć sukcesy, na które dotąd niecierpliwie czekali, lecz niestety, zawiedli się i tym razem. Nie pomogła i zmiana ministra wojny. Jenerał Morrone nie o wiele szczęśliwszym jest od swojego poprzednika, który przynajmniej na karb niepogody składał odpowiedzialność za niepowodzenia armii i w żaden sposób nie potrafił urzeczywistnić marzenia Włochów, by z orężem w ręku wkroczyć jako zbawiciel do Tryestu i stąd dopiero rozpocząć właściwą ofenzywę.

Stało się inaczej. Tryest napróżno oczekuje nieproszonych gości, wojska austryackie natomiast przepędziły nietylko armię włoską w południowym Tyrolu, ale zajęły nadto spory szmat włoskiego terytoryum i silnie się na nim usadowiły.

W ostatnich czasach biuletyny wojenne z południowo zachodniego frontu nie donoszą o żadnych ważniejszych wydarzeniach, na całym przecież froncie toczy się ciągle walka przeważnie artyleryi.

Albania w czasie wojny.

Dziwne są losy tego małego kraiku. Dzieje jego były tylko szeregiem wojen, najazdów i okrucieństw. Od najdawniejszych czasów, począwszy od Pyrrusa, króla Epiru, Albania była podbijana przez wszystkich sąsiadów, aż wreszcie dostała się pod panowanie Turków. Gdy po wojnie bałkańskiej i długich pertraktacyach dyplomatycznych powstało samodzielne państewko albańskie pod panowaniem księcia Wieda, zdawało się, że kraj ten, który tak niespodziewanie uzyskał niepodległość, wejdzie w nową fazę rozwoju pokojowego. Stworzona jednak z takim trudem przez dyplomacyę europejską „samodzielna" Albania nie cieszyła się bynajmniej spokojem. Knowania rewolucyjne wydały ją na łup wojny domowej, która skończyła się ustąpieniem księcia Wieda. Wreszcie przyszła wojna europejska i nękana ciągle walkami Albania znalazła się pod panowaniem władz austro węgierskich. I rzecz znamienna, jest to może najspokojniejszy okres Albanii, gdzie teraz wre praca pokojowa, celem podniesienia opuszczonego pod każdym względem kraju.

W jednym z poprzednich numerów pisaliśmy o budowie dróg w tym kraju, przyczem zatrudnionych jest wielu oficerów i żołnierzy z Galicyi. — W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć z życia Albanii w obecnym czasie wojennym. Widzimy tam różne momenty budowy kolejek, charakterystyczne typy ludności miejscowej i t. d.

Zaznaczyć tu jeszcze trzeba, że w zakresie tej pracy kulturalnej, jaką rozwinęły władze austryackie w Albanii, szczególną doniosłość dla ludności ma działalność na polu sanitarnem, najbardziej może zaniedbanem. Liczni lekarze z monarchii niosą pomoc lekarską ludności i podnoszą jej stan zdrowotny przez zarządzenia sanitarne.

Na tem polu pracuje w Albanii między innymi kobieta-lekarz z Galicyi p. dr. S. Weinberżanka, córka tutejszego nauczyciela, powołana przez austryackie władze wojskowe do Skutari, celem przeprowadzenia ochronnego szczepienia i leczenia kobiet muzułmańskich. P. Weinberżanka pełniła od początku wojny obowiązki lekarza w wojskowych zakładach leczniczych w Krakowie, w Krems, a ostatnio w szpitalu rezerwowym w Nowym Sączu.



Wyładowywanie materyałów do budowy kolejki.



Stacya kolejki.

Albania w czasie wojny:



Na włoskim froncie: Zwłoki żołnierzy włoskich na pobojowisku.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

10

— Szczególniej skoro dowie się, że tam był już pan Bernac! — dodała Michalina.

— Ale w każdym razie nie należy zaniedbywać niczego — odparł Cambaux. — Nie wiadomo nam, co myśli robić dalej ten ptaszek i najlepiej zrobimy, pilnując go ze wszystkich stron.

— Jednakże dotąd, o ile mi się zdaje — zauważyła Michalina — jest to jedyna szansa pochwycenia go.

— W gruncie rzeczy jedna z najrealniejszych — odparł Bernac. — Mam na myśli rzeczy różne, ale jeszcze niepewne. Najgłówniejsze, że wiemy dokładnie, jak ten Bodminster wygląda. Logicznie rzecz biorąc, on miał wspólników, na których teraz musimy zwrócić uwagę. — Ta Edyta naprzykład, o której wspomina mój przyjaciel Clemson...

Na te słowa Michalina zbladła silnie i powstała. Bernac i Cambaux spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Twarz młodej dziewczyny uległa nagłej zmianie, rysy jej się ściągnęły, a w oczach zabłyszczał ogień gorączkowy.

— Panno Michalino! — zapytał zdumiony Bernac — Czy może pani ma co do powiedzenia... wspomniała pani przed chwilą... niech pani mówi błagam panią. Może to na prawdę coś ważnego dla nas wszystkich.

— Tak, panie Bernac! — wyrzekła Michalina stanowczym i poważnym głosem — mam do uczynienia pewne wyznanie.

— Wyznanie! — zawołał Bernac — Panno Michalino! Przeraża mnie pani... Mój Boże, co to może być?!

— Namyślałam się przez trzy dni — mówiła dalej Michalina, drgając nerwowo — czy mam uczynić to wyznanie, czy też zachować je dla siebie. Może nawet byłabym się dłużej wahała, wstrzymana uczuciem, które pan łatwo zrozumie, panie Bernac, kiedy się pan dowie, o kogo tu chodzi, ale dokonane przez pańskiego przyjaciela, Clemsona, śledztwo w Anglii zdecydowało mnie do mówienia. Mam wszelkie dane do twierdzenia, że nauczycielka moja, miss Hopkins, jest wspólniczką Nataniela Bodminster.

— Czy być może?! — zawołał zdumiony pan Cambaux, podskakując na swojem krześle — Panno Michalino, ależ to nadzwyczajne odkrycie i jeżeli się pani nie myli...

— Nie mylę się — przerwała gwałtownie młoda dziewczyna. — Milczenie to trzydniowe kosztowało mnie wiele sił i panowania, ale teraz już dalej milczeć nie mogę...

— I pani! Pani to odkryła! — wyszeptał przejęty i wzruszony Bernac.

Wiadomość ta uderzyła go silnie, tembardziej, że i on już od jakiegoś czasu skierował instynktownie posądzenia swoje w stronę Angielki, a teraz ta zgodność myśli i zapatrywań z Michaliną wzruszyła go bardzo. Ta młoda dziewczyna była przecież nieoceniona. Co za moc panowania nad sobą, energię niezwykłą i łatwość oryentacyi w najzawiklańszych sprawach posiadała w wysokim stopniu!

Patrzał na nią z podziwem, nie mogąc słowa przemówić.

— Niech nam pani wyjaśni wszystkie poczynione spostrzeżenia — odezwał się pan Cambaux, na którego twarzy malowało się również zaciekawienie i nadzwyczajne zdumienie. — To są zbyt poważne rzeczy, aby je przemilczeć można. Dobrze pani uczyniła, postanawiając odkryć je nam.

— I zaręczam, że się pani nie myli! — przemówił wkońcu Bernac — Zanim nawet pani opowie nam swoje spostrzeżenia, czuję, że trafiła pani na ślad właściwy. Powie mi pani może, że nie jestem w zgodzie ze sobą, bo nie kieruję się zimną rozwagą, ale i ja wyznać muszę, że od kilku dni podobne myśli nasuwały mi się kilkakrotnie, zupełnie odemnie niezależne.

— I pan także! — szepnęła Michalina — To szczególne!

— Intuicya w tym wypadku grała rolę główną.

— Więc nie zadziwi się pan, jeżeli wahałam się czas jakiś z oskarżeniem osoby, do której ojciec i ja również do chwili ostatniej czuliśmy ufność zupełną. Uważałam ją, jak prawdziwą przyjaciółkę moją i opiekunkę. Niestety! — dodała młoda dziewczyna ze smutkiem — Pan Lambriere był także moim wujem, a przecież... Sprawozdanie pana Clemsona usunęło całkiem moje skrupuły. Miss Hopkins jest siostrą owego Nataniela Bodminster, a właściwie Winnifreda Brown.

— Ale — zauważył Cambaux — pan Clemson twierdzi, że Edyta Brown odznaczała się wspaniałymi włosami ognistego koloru. Miss Hopkins zaś, o ile zauważyłem, ma włosy czarne, siwiejące już trochę.

— Tak, panie Cambaux — odparła Michalina — uwaga pana jest słuszną. Tylko kiedy pierwsze podejrzenia co do mojej nauczycielki ogarnęły mnie, zaczęłam ją bacznie obserwować. Odkryłam więc wkrótce, że te włosy czarne, siwiejące, jest to peruka, pod którą kryją się obfite rude warkocze.

— Więc to jest z wszelką pewnością Edyta Brown! — zawołał uradowany Cambaux.

— Tak jest, to ona. Kiedy pan Bernac odczytał nam telegram pana Clemsona, siłą woli opanowałam się, żeby nie krzyknąć, tak opis Edyty Brown zgadzał się z mojem spostrzeżeniem.

— Ale w jaki sposób podejrzenia pani skierowały się na osobę miss Hopkins? — zapytał Bernac.

— Przypomina pan sobie, kiedy pan przybył przedwczoraj do naszego mieszkania, spotkał mnie pan z miss Hopkins, powracającą z przechadzki. Pomimo mojej usilnej prośby, nie chciał pan mówić przy niej. Zdziwiło mnie to, bo jeszcze nie miałam podejrzeń żadnych. Ale wychodząc od nas, w chwili kiedy pan siadał do automobilu, zawołał pan dosyć głośno do szofera: na ulicę Tournon!

— Przyznaję, że postąpiłem nierozważnie — odparł Bernac ze skruchą — ale ta nieuwaga moja może przyczyniła się do odkrycia pani, chociaż zupełnie bez żadnej intencyi względem miss Hopkins rzuciłem ten adres.

— No, no, nie tłumacz się tak, mój kochany — zaprotestował Cambaux, który drżał ze zniecierpliwienia i chciał jak najprędzej usłyszeć koniec zeznań Michaliny.

— Otóż — mówiła dalej młoda dziewczyna — w tej chwili byłam w pobliżu miss Hopkins i zauważyłam, że na dźwięk tego adresu drgnęła silnie i pobladła. Wydało mi się to dziwnem. Ale nie zwróciłabym może także uwagi na jej zachowanie, gdyby nie późniejszy jej upór i usiłowanie naprowadzenia mnie na pewne zwierzenia. Zaznaczyłam nawet panu tę ciekawość miss Hopkins w czasie dzisiejszej rozmowy telefonicznej.

— O czem chciała się dowiedzieć? — zapytał Cambaux.

— Pytała mi się, czy nie wiem, w jakim celu pan Bernac udał się na ulicę Tournon? Jak daleko zaszedł w poszukiwaniach swoich? I znowu powracała uporczywie do tej ulicy Tournon.

— To ważne, to bardzo ważne! — mruczał Cambaux.

— Zdenerwowana była przytem i niespokojna. Od tej chwili nie tylko zdwoiłam ostrożność w rozmowie z nią, ale zaczęłam ją śledzić bacznie.

— Zachowała się pani jak urodzony detektyw — rzekł z zadowoleniem Cambaux. — Miło z panią pracować razem i mieć w pani pomocnika i doradcę.

— Jednakże byłam daleką od oskarżenia jeszcze miss Hopkins — mówiła dalej Michalina. — Przypomniałam sobie, że po zniknięciu ojca, kiedy pan przystąpił do drobiazgowego śledztwa otoczenia, nie wyłączyliśmy mojej nauczycielki.

— Tak jest, była pani nawet z tego bardzo niezadowoloną — odparł Bernac — pamiętam, jak się pani na mnie oburzyła.

— Bo to podrażniło moje przywiązanie do niej, niech pan to zrozumie. Skonstatowaliśmy więc wówczas, że wszystko, co miss Hopkins mówiła o znajomościach swoich w Paryżu, było prawdą.

Ponadto ci znajomi jej, pochodzący z Austryi i za których poleceniem miss Hopkins dostała się do naszego domu, byli w przejeździe tutaj zeszłego roku i mieli sposobność spotkania u nas swojej protegowanej. Była trzy lata w ich domu jako nauczycielka ich córki i opuściła ich dopiero, kiedy uczennica jej wyszła za mąż. Nie mogło więc być żadnych wątpliwości co do jej osoby. Nawet pan, panie Bernac, był całkiem zadowolony z tych informacyi.

— Tak rzeczywiście, przypominam sobie, że polecenia miss Hopkins były jak najlepsze.

— Niech przypomni sobie pan teraz, że miss Hopkins poznała przyjaciół, o których mówię, w Wiedniu, gdzie stale mieszkają i to lat temu dziesięć mniej więcej. Jeżeli się odniesiemy do zbrodni, o której wspomina Clemson — to daty zgadzają się całkiem. — Wówczas jeszcze pomiędzy innymi zainteresował się pan tą przyjaciółką, u której była miss Hopkins, kiedy pan pierwszy raz po wypadku przyszedł do naszego mieszkania. Pamięta to pan, panie Bernac?

— Owszem, pamiętam. Na zapytanie, gdzie jest miss Hopkins, odpowiedziała mi pani, że poszła od wiedzić chorą przyjaciółkę, która znajduje się w Paryżu tylko w przejeździe.

— Ta pani, jak mi mówiła miss Hopkins, zatrzymała się w hotelu „Excelsior". Sprawdziliśmy rzeczywiście, że tak było, pani ta była Włoszką i była cierpiąca. To także zresztą była znajomość miss Hopkins zawarta w Austryi. Jednakże po dziwnem zachowaniu się jej, kiedy pan rzucił adres ulicy Tournon, chciałam dla własnego spokoju zebrać na swoją rękę dane pewne o mojej nauczycielce. Pani ta z hotelu „Excelsior" chorą jeszcze była i miss Hopkins odwiedzała ją dwa lub trzy razy tygodniowo. Postanowiłam sobie pójść za nią przy pierwszej sposobności. Złożyło się szczęśliwie, bo wczoraj właśnie miss Hopkins przed wieczorem zawiadomiła mnie, że musi mnie pozostawić samą na dwie godziny i wtedy wpadł mi w oko szczegół, który przedtem nie zwrócił mojej uwagi. Miss Hopkins na tę wizytę ochraniała się gęstą, czarną woalką i kładła na siebie szeroki, ciemny płaszcz, kiedyindziej nigdy nie używany. Wyglądała w tem przebraniu na poważną, starą damę i trudno było rozpoznać ją.

Powiedziałam jej więc, że w czasie jej nieobecności zajmę się czytaniem i czekałam aż wyjdzie, ale zaledwie zeszła ze schodów, zarzuciłam okrycie i kapelusz i pobiegłam za nią, idąc w pewnej odległości.

Doszła nasamprzód do placu Gwiazdy, odwróciła się, lecz nie poznała mnie, bo i ja również zarzuciłam gęstą gazę na głowę, a przytem ten skwer jest bardzo źle oświetlony, co podaję panu do wiadomości, panie Cambaux. Tam zawołała dorożkę automobilową i pojechała. Traf mi posłużył, bo właśnie przejeżdżał drugi automobil, który zatrzymałam dla siebie i kazałam szoferowi jechać za pierwszym w pewnem oddaleniu. Obawiałam się cokolwiek, a jednak pragnęłam gorąco poznać rezultat moich zabiegów.

— I gdzież udała się miss Hopkins?

— Do hotelu „Excelsior" rzeczywiście, skąd odesłała dorożkę i weszła do hotelu. Ja zaś dalej zatrzymałam swoją i czekałam w niej na jej wyjście...

— Wspaniała robota! — zawołał Cambaux. — Panno Michalino, posiada pani nadzwyczajne zdolności w tym kierunku.

— Rzeczywiście! — odparł Bernac — Zadziwia mnie pani coraz więcej.

— Dosyć, dosyć, moi kochani! — rzekła młoda dziewczyna — Bo nie będę mogła mówić dalej. Po upływie kwadransa miss Hopkins wyszła z hotelu, co uderzyło mnie, bo oświadczyła, że zabawi u przyjaciółki ze dwie godziny. Zawołała znowu dorożkę i wsiadła do niej.

Ja przez ten czas opłaciłam sowicie mojego szofera, by był dalej do mojej dyspozycyi. Dalej więc jadę za nią i śledzę. Ogromnie byłam zaciekawiona, dokąd też teraz podąży. Zdziwiłam się mocno, kiedy automobil przystanął wkrótce przed Central-Palace na ulicy Marceau. Miss Hopkins odesłała dorożkę i spiesząc się bardzo weszła do środka.

Teraz nie wiedziałam, co robić? Czy miałam znowu czekać na nią? Lub też wysiąć trzeba było i przekonać się, co robi w Central Palace i z kim się widzieć będzie? Po chwili namysłu postanowiłam jeszcze czekać w automobilu, bo czyniąc inaczej, mogłam się „sparzyć", nieprawdaż panie Cambaux, tak trzeba się wyrażać w naszym fachu śledczym?

— Doskonale! Doskonale, panno Michalino! — zaśmiał się zadowolony Cambaux. — To się nazywa głowę mieć na karku!

— Wychyliłam się jednak z dorożki i przez szklaną szybę zajrzałam do środka sali.

— No, no! — nalegał Bernac — Z kim miss Hopkins spotkała się tam?

— Z jakimś wysokim panem z czarnemi wąsami.

— Oh! Czy aby to naprawdę był czcigodny ojciec Nataniel Bodminster? — szepnął Bernac zamyślony — No i cóż się później stało? Długo trwała ta ich rozmowa?

— Tego nie wiem, po pół godziny czekania powróciłam do domu, bo dalsze czekanie uważałam za bezcelowe. Postanowiłam wtedy wszystko panu powiedzieć i pozostawić dalsze działanie. Chciałam również przed powrotem miss Hopkins być w domu, bo nie życzyłam sobie, żeby się domyśliła, „że ją śledziłam"!

Cambaux nie posiadał się z radości, zacierał ręce, mruczał coś pod nosem, wkońcu nie mogąc

opanować swojego zadowolenia, podszedł nagle do Michaliny i serdecznie ucałował jej policzki.

— To mi robota! To dopiero jest dobra robota! — powtarzał z zachwytem — Takich pomocników więcej, a wyłapiemy zbrodniarzy całego świata!

Bernac zaś uścisnął gorąco rękę młodej dziewczyny, patrząc jej głęboko w oczy.

— Panno Michalino, mój przyjaciel Cambaux ma słuszność. Postąpiła pani jak stary, rutynowany detektyw — rzekł serdecznie. — Dzięki zręczności pani, pochwyciliśmy w rękę główną nić tajemnicy. Od nas teraz zależna jest reszta! Edyta Brown i jej brat są już w naszej mocy!

Edyta i Winnifred Brown.

W Central-Palace, dnia poprzedniego w wielkiej sali, ozdobionej palmami, siedział przy stoliku wysoki mężczyzna, o suchej twarzy, bez wyrazu. Wąskie jego usta ocieniały wąsy tak czarne i gęste, że mogły wydawać się bardzo nienaturalne. Zajęty był przeglądaniem „New York-Heralda", lecz widocznie uwagę jego niezbyt pochłaniały artykuły czytane, bo wzrok jego roztargniony biegł co chwila ku drzwiom głównego wejścia, przez które tłumy publiczności napływały do środka.

Musiał oczekiwać kogoś i to od dłuższej już chwili, bo wyraz zniecierpliwienia osiadł na jego czole, fałdując je lekko. — Kilkakrotnie spojrzał na wielki zegar, wiszący na ścianie i wtedy zmarszczki czoła pogłębiały się coraz silniej.

Nareszcie odłożył dziennik, trzymany w ręce. Dojrzał bowiek zwykłą towarzyszkę schadzek, starą damę, mocno zawoalowaną, w obszernym, ciemnym płaszczu. W jednej chwili twarz jego rozjaśniła się.

Dama dostrzegła go również i poważnie zbliżyła się do niego.

Po pierwszych słowach powitania, wysoki pan ruchem głowy wskazał towarzyszce zegar wiszący na ścianie.

— Nie mogłam przyjść wcześniej — tłumaczyła się.

Już teraz zaniechali wobec siebie odgrywanej w tem miejscu komedyi nieznajomości, która zmuszała ich do pozornego czytania, czy też pisania listów i ułatwiała rozmowę, prowadzoną zręcznie, przyciszonym głosem.

Obecnie byli już tak zaangażowani w bieg fatalny wypadków, że im już ta drobna nieostrożność zaszkodzić nie mogła, wobec szeregu innych, poważniejszych, już popełnionych.

Starsza dama usiadła otwarcie przy stoliku towarzysza i nawiązała się natychmiast żywa dyskusya.

— Jest co nowego? — pytał niespokojnie mężczyzna, patrząc badawczo w twarz towarzyszki.

— Nic tak bardzo interesującego. Ale ty, mój kochany, wydajesz mi się czemś zaniepokojonym. Znam twarz twoją i nic nie ujdzie mojego bacznego wzroku. Co masz mi do powiedzenia? Stało się co niedobrego dla nas?

— Stała się rzecz, ktorej poprostu zrozumieć nie mogę!

— No, co takiego?

— Wszystkie trzy moje brylanty znikły!

— Tak, jak pierwszy?

— Oh! Co do pierwszego, to nie można powiedzieć, żeby znikł. Powinienem, co prawda, znaleźć go w kieszeni Lambriera razem z szarym zeszytem i tymi dwakroć stu tysiącami franków. Nie było go jednak tam. Ale wkońcu Lambriere mógł go zagubić w drodze, a może poprostu zapomniał wziąć go z kasy Versigny'ego. Ale te trzy następne, zachowałem je przecież dobrze tam, w moim domku w Chelles — wiesz gdzie? No i ani śladu z nich! Znikły jak kamfora!

— Ależ to niemożliwe!

— Do kogo to mówisz?

— Gdzieżeś je ukrył właściwie?

— Pod deską podłogi w dolnym pokoju. Któż mógł wiedzieć o tej skrytce? Nie pojmuję tego!

— I zginęły stamtąd?

— Tak.

— I niema żadnego śladu, aby kto je stamtąd wydobył. Musiałeś przecież coś zauważyć!

— Nic zgoła! Podłoga wcale nie jest naruszona. Badałem każdy kawałeczek dokładnie.

— Cóż więc myślisz o tem?

— Cóż mogę myśleć? Chyba, że zmarły ich wynalazca, ktory leży niedaleko stamtąd, przyszedł w nocy odebrać mi je.

Mówiąc to wysoki pan zaśmiał się szyderczo.

— Proszę cię, mój Winnifredzie — oburzyła się poważna dama — zaprzestań tych żartów. Wiesz, jak nie lubię, kiedy się z lekceważeniem wyrażasz o tak poważnych rzeczach!

— Daj spokój stara! Nie pora na niemądre uwagi i obrazy! Przyznaj sama, że można oszaleć z tego wszystkiego! Od paru godzin głowę sobie suszę, co to może być! Chyba, że to jest robota tego wściekłego Bernaca! Niechbym go tylko dostał w swoje ręce!

— Choćby nawet! Bernac nie jest czarodziejem przecież. Daj spokój Winnifredzie, może ty źle szukałeś, musiałeś być zdenerwowany. Te kamienie mogły zagłębić się w ziemię, czy ja wiem zresztą?

— Powtarzam ci, że doskonale przeszukałem całe miejsce. Edyto, nie drażnij mnie, proszę!

— Człowiek jest omylnym — upierała się poważna dama. — Mogłeś się pomylić i szukałeś pod inną deską, a nie pod właściwą.

Mężczyzna zastanowił się chwilę.

— Dla spokoju twojego, choć znam każdą najmniejszą cząstkę mojej kryjówki, pójdę tam jutro i raz przeszukam jeszcze. Poruszę wszystkie deski, jedną za drugą, ale wiem, że brylantów już nie zobaczę.

— Ja mam nadzieję, że je odnajdziesz!

— Niema o czem mówić! Powiedz mi teraz, jak daleko posunęły się operacye Bernaca i jego pomocników.

— Tak, jak ci donosiłam telegraficznie, kiedy jeszcze odkrył pracownię w Saint-Oven. Wiem o tem z wszelką pewnością. Był tam już.

— Do dyabła! — zaklął wysoki pan przez zęby. — To było do przewidzenia. Skoro taki człowiek, jak on, był już w pensyonacie i przewąchał coś, należy teraz spodziewać się wszystkiego. A do dyabła, sprawa nasza się psuje! A myślałem już, że z niej wybrniemy!

— Jeszcze nie jest tak źle! Bernac był w pracowni. ale niewiadomo jeszcze, w jakich zamiarach.

— Przecież to jasne, że będąc w pensyonacie, musiał dokładnie przetrząsnąć pokój Guzowa, a że nie miałem wówczas wiele czasu i nie mogłem dostatecznie zatrzeć wszystkich śladów za sobą, mógł coś odkryć, co nas zgubić może!

— Ale co?

— Czy ja wiem! Guzik od ubrania, świstek papieru, bilet omnibusowy! Dla tego spryciarza, to bądź co wystarczy do dalszego tropienia. Lepszy ma węch, jak pies gończy.

— Czy sądzisz, że mógł odkryć otwór, wywiercony w ścianie? Zalepiłeś go dobrze?

— Zalepiłem, ale kto to może wiedzieć! Obawiam się tego właśnie najwięcej! Kusi mnie nawet przejść tam przekonać się, ale ten Bernac musi pilnować pensyonatu i mógłby wytropić mnie. Zaryzykowałbym za wiele.

— Masz słuszność, nie radzę ci tam pokazywać się. Wczoraj wieczór w mieszkaniu jego była wielka narada. Był tam Cambaux i ta mała!

— Wiesz, o czem mówili?

— Niestety nie. Mała jest bardzo powściągliwa i nie da się naprowadzić łatwo na drogę zwierzeń, szczególniej od kilku dni widzę w niej zmianę...

— To źle! Może, Edyto, popełniłaś jaką nieostrożność. Przypomnij sobie.

Poważna dama potrząsnęła przecząco głową i wyprostowała się dumnie.

— Ty wiesz doskonale, że nigdy jeszcze nie popełniłam żadnej nieostrożności. Dziwię się nawet, skąd powstać mogło w twojej głowie przypuszczenie podobne.

— A czy sądzisz, że bezpiecznie jest przechowywać w twoim pokoju naszą korespondencyę, a szczególniej ten kompromitujący nas szary zeszyt?

— Niema w tem żadnego niebezpieczeństwa! Zato ci ręczę. Mała milczy i niechętna jest poufniejszej rozmowie, bo ją tak usposobił ten Bernac, ale odnosi się do mnie z całem zaufaniem, jak dawniej. A co do szarego zeszytu, to bezpieczniejszy jest u mnie, jak, pozwól mi powiedzieć, brylanty twoje pod podłogą twojej kryjówki.

— No, no! Daj tylko spokój z tymi brylantami! W każdym razie masz dziwny sposób przekonywania mnie! Ale teraz wracajmy do rzeczy! Czy nie uważasz, że to już najwyższy czas przystąpić do eksploatacyi naszej sprawy?

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Wskazówki, jakie zawiera zeszyt Guzowa, są dostateczne. Posługując się niemi, można już zaryzykować przedsięwzięcie próbne i zacząć pracować.

— Tak. Wskazówki mogą być wystarczające. Ale praca kolo tego wymaga czasu i urządzenia pewnego. A nie mamy jeszcze możności zrealizowania naszych zamiarów. Trzeba jeszcze przeczekać czas jakiś.

— Jaka szkoda, że nie można zużytkować laboratoryum Guzowa w Saint-Oven. Tam wszystko jest przygotowane. Tylko maszynę w ruch puścić!

— Nie myślisz chyba o tem na seryo!

— Ależ nie, kochana Edyto, żartuję tylko! Jestem niepoprawny pod tym względem.

— Widzę to!

— Trzeba jakoś się pocieszać na tym świecie. Życie nie zawsze bywa rozkoszne.

— Ale przedewszystkiem trzeba się uzbroić w cierpliwość, bo za nami jest zawsze, niestety, Jerome Versigny. Ach! mój Boże, żebyśmy się dowiedzieć mogli, gdzie się teraz ukrywa! Pomogłoby to znacznie naszej sprawie, nieprawdaż? Żeby choć wpaść na ślad jaki!

— Więc ty naprawdę nie przypuszczasz, że się z nim już dawno załatwili?

— Ach! to nie może być pewne! Ten Bob i Johmy Wills konserwują go pewnie pod kloszem. Archibald Graves pełny był doskonałych pomysłów.

— I trwasz dalej w niechęci porozumienia się z ludźmi „Trustu"? Toby może było niezłe!

— To jest szalona myśl, mój Winnifredzie! Pomyśl tylko, że chcąc porozumieć się z nimi, musisz pojechać do Londynu. Choćbyś się jaknajzręczniej przebrał i ucharakteryzował, narazić się możesz na poznanie.

— Gdybym jednak spróbował?

— Nie! nie! pod żadnym względem na to ci nie pozwolę! Bądźmy rozsądni. Musimy przyznać, że te dwakroć sto tysięcy, znalezione w portfelu barona de Lambriere, stanowią dosyć pokaźny zadatek. Wobec tego, te kilka lat, które strawiłam na poznaniu domu Versigny'ego i pozyskaniu sobie zaufania jego i jego córki, nie są stracone. Przyznaj, że przygotowałam teren doskonale i umiałam czekać na stosowną chwilę, by rozpocząć działanie.

— Oh! zapewne! Ty często masz słuszność, Edyto! Oceniam cię też, jak na to zasługujesz.

— Powiedz lepiej, że zawsze mam słuszność, to będzie sprawiedliwsze, mój kochany.

— Według więc twojego zdania, co robić teraz?

— Pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Nic nie przyspieszać, o nic się nie starać. Zakończenie naszej sprawy wypłynie szczęśliwie samo przez się. Ja ze swojej strony dalej śledzić będę działania Bernaca i jego pomocników.

— Ale ta mała?

— Pozostaw mi ją. Nie takie sprawy miałam do przeprowadzenia, a wyszłam z nich zwycięsko. Jeżeli tylko chcieć będę, doprowadzę ją do zwierzeń i zaufania, tylko obecnie nie chcę nalegać silniej, bo uważam, że jest pod wpływem Bernaca i nie chciałabym ją urazić.

— Czy sądzisz, że Bernac mówi jej wszystko?

— Ależ naturalnie. Stosunek ich jest bardzo serdeczny. Ona i Cambaux są jedynymi jego powiernikami, ale do tego starego dostępu nie mam, więc mogę tylko małej pilnować.

— Rób jak uważasz, pozostawiam już to do twojej woli.

— I dobrze zrobisz, bo nie zawiodłam cię nigdy. Najlepsze sprawy ja ci podsunęłam i przygotowałam zawsze, przypomnij sobie tylko, mój kochany.

— Jesteś nieocenionym współpracownikiem, Edyto. Zastosuję się też i teraz do twojej woli.

W pięć minut później wysoki pan, pożegnawszy towarzyszkę, opuszczał Central-Palace.

Była już późna godzina. Zmrok ciężki obejmował już ulicę, na której gdzieniegdzie połyskiwało światło latarni. Wysoki pan podniósł wysoko kołnierz płaszcza i spokojnym krokiem szedł w dół ulicy. Nie zauważył, że z pod framugi jednej z kamienic oderwały się szybko dwie ciemne postacie i podążyły za nim w pewnem oddaleniu.

Wkrótce potem poważna, zawoalowana dama ukazała się na progu Central Palace. Rozejrzawszy się ostrożnie wokoło, wsiadła do automobilowej dorożki, stojącej pod kawiarnią.

— Gdzie mam jechać? — zapytał szofer, zapuszczając spojrzenie w głąb powozu.

— Na ulicę Monceau! — odpowiedziała dama.

Szofer natychmiast puścił w ruch maszynę i zwrócił się w stronę placu Gwiazdy, lecz zamiast podążyć w dół ku Królewskiej Bramie, okrążył w kierunku Pól Elizejskich.

Starsza dama nie zauważyła w pierwszej chwili tej pomyłki. lecz w końcu zoryentowała się i zniecierpliwiona zaczęła uderzać w szybę, chcąc zwrócić uwagę szofera.

Ale automobil pędził dalej.

— Proszę stanąć! Proszę stanąć natychmiast! — zawołała niespokojnie — Mówiłam przecież, że chcę jechać na ulicę Monceau!

Maszyna zwolniła biegu i zatrzymała się.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Z ostatnich walk: Patrol austryacki w czasie utarczki w górach na włoskim froncie.

Legiony w boju.

Legiony okryły się nową sławą. W ostatnich walkach na wschodnim froncie — jak zaznaczają zgodnie urzędowe sprawozdania i korespondenci wojenni, Legioniści walczyli z bohaterstwem, odpierając wielokrotnie przeważające siły nieprzyjaciela... Te nowe laury okupili naturalnie dość ciężkiemi stratami. Nz polu chwały oprócz kilkuset szeregowców, padło wielu wybitnych oficerów, a między nimi major Wyrwa Furgalski, kapitan Sław i inni. Nadto zostali ranni pułkownicy: Berbecki, Minkiewicz i Januszajtis.

Zanim po oficyalnem potwierdzeniu listy poległych bohaterów zamieścimy ich życiorysy i fotografie, podajemy w dzisiejszym numerze kilka zdjęć w związku z ostatnimi walkami Legionistów.



Z życia prowincyi: Tarcza Legionów w Dubiecku i jej twórczyni p. J. Chudzikowska

Z życia prowincyi.

Dubiecko, niegdyś siedziba Unitaryuszów, z różnych wypadków dziejowych pamiętne, miejsce urodzenia i ulubione miejsce pobytu ks. biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego, dzisiaj zaledwie dwa tysiące dusz liczące, zdala od ruchu kolejowego, w dawnej Ziemi przemyskiej w uroczej podgórskiej okolicy położone, po przebyciu strasznej wojennej burzy, która przeszła ponad niem w latach 1914 i 1915 i po której pozostały jeszcze znaczne ślady spustoszenia i różne bolesne wspomnienia — ocknęło się prędko po wyparciu nieprzyjaciela ze swego przygnębienia i zabrało się raźno do przerwanej pracy oświatowej i patryotycznej. Wyrazem żywotności tej była urządzona dnia 14. maja bieżącego roku przez miejscowy Komietet Narodowy wspólnie z Kołem T. S. L., uroczystość odsłonięcia tarczy Legionów. Do uświetnienia tej uroczystości przyczyniła się wielce znana już w świecie artystycznym młoda adeptka sztuki, nauczycielka miejscowa, Józefa Chudzikowska, której poruczono wykonanie tarczy. Jest to niezwykły domorosły talent. Od dzieciństwa malowanie i rysowanie było jej jedyną rozrywką i passyą. Jest to w całem znaczeniu tego słowa samouczka. Dotąd kształciła się i kształci dalej sama — i tylko podczas pobytu we Lwowie, gdy uczęszczała do seminaryum nauczycielskiego, brała przez kilka miesięcy dorywcze lekcye od tamtejszych artystów malarzy, Stanisława Batowskiego i Bratkowskiego.

Tarcza Legionów zawiera na swem tle symboliczny obraz większych rozmiarów, przedstawiający boginię zwycięstwa z mieczem dobytym w dłoni, wzniesionym przed unoszącym się obok orłem białym, który szponami swymi rozrywa wieniec cierniowy, obok zaś niego spadają: wieniec z róż i wieniec laurowy. Tło obrazu jest niebiesko stalowe, wgłębione, a postaci niewiasty i orła występują łudząco, jakby płaskorzeźba.



Albania w czasie wojny: Stara Albanka na ulicy w Skutari przędzie nić z owczej wełny.



Albania w czasie wojny: Dr. S. Weinberżanka z Galicyi, pełniąca służbę lekarską w Skutari



Albania w czasie wojny: Główna ulica w Skutari.

Kronika tygodniowa.

Jeszcze nie skończyła się obecna wojna, a już zaczynają się pojawiać wzmianki, że najdalej za lat dziesięć lub dwadzieścia wybuchnie nowa, która pod względem okropności przewyższy wszelkie militarne zmaganie dni dzisiejszych. Taką opinię wypowiedział jeden z rosyjskich jenerałów, który swojego czasu zapewnił, że tocząca się teraz nie skończy się tak rychło, ale może potrwać i trzy lata. Kto wie, czy nie miał racyi, gdyż już kończy się drugi rok, a o pokoju jakoś nie słychać. — Zaczynam wobec tego wątpić w przepowiednie różnych babek ze Śląska, a nawet pani de Thèbes. Wół ma cztery nogi, a czasem się potknie, może się pomylić nawet wielka wieszczka, która zresztą niema patentu na nieomylność i nieraz nas już wykiwała.

Jak zaś będzie wyglądać ta przyszła wojna, można sobie wyobrazić, czytając wywody owego pana jenerała, który zapewnia, że wówczas Rosya będzie rozporządzać trzydziestu milionami piechoty, dwoma milionami kawaleryi, pięciu milionami artyleryi ze stu tysiącami armat i milionem karabinów maszynowych i t. d. Ponieważ równocześnie wzmoże się i ludzki duch wynalazczy, zaprowiantowanie całej gromady nie będzie przedstawiać żadnych trudności, gdyż wystarczy jedna jedyna beczka cudownego eliksiru, którego jedna kropla, dodana do litra zwykłej wody studziennej, da porcyę pożywnego rosołu z kaszką lub ziemniakami, pół funtem mięsa z ogórkiem kiszonym i kromką chleba z zupełnie czystej mąki bez domieszki kukurudzy lub ziemniaczanej miazgi, tak nam teraz smakującej. W armii służyć będą wówczas i kobiety, prawdopodobnie jako amazonki, kto zresztą dożyje, ten się przekona, czy miał racyę ów rosyjski militarysta.

Nie warto jednak zaprzątać sobie głowy tem, co dopiero będzie, skoro tyle kłopotu mamy z tem, co jest. Dotąd przynajmniej od czasu do czasu wspominano o pokoju, teraz, być może ze względu na kanikułę, zupełna cisza. Angielscy pacyfiści ogłosili swoje warunki pokojowe, które sami uważają za bardzo rozsądne, wątpię przecież, czy na nie zgodzi się przeciwna strona.

Żądają oni mianowicie, aby przedewszystkiem mapa Europy nie uległa żadnej zmianie, aby każde państwo zapłaciło koszta wojenne z wyjątkiem Belgii, która otrzyma natomiast odszkodowanie, by wykluczono wojnę gospodarczą, ograniczono zbrojenia i zaprowadzono powszechnie obowiązujący sąd rozjemczy. Innemi słowy, szkoda więc było wojnę prowadzić, skoro po jej ukończeniu mają nastać stosunki takie, jakie były przed jej wybuchem. Ciekawy jestem, kto zrobi początek, wątpię bowiem, aby się rychło znalazł amator.

Wszystko zresztą jest na świecie możliwe, nie jest więc wykluczonem, że i pokój zostanie zawarty i to na wyżej wymienionych warunkach.

Zanim się to jednak stanie, przyjdzie nam niejedno jeszcze przecierpieć. Ot, dzięki owym dwu dniom bezmięsnym, nazwanym postem z urzędu, straciłem już kilka kilogramów z swej żywej wagi, a tu ogłaszają nam nowe zaostrzenia, na podstawie których niewolno we wtorki i piątki jeść nawet baraniny, dotąd za mięso nie uznanej, nerek, wątroby, flaków i t. d., ba nie wolno też używać wszelakich tłuszczów i to nie tylko w restauracyach publicznych, ale i w prywatnych gospodarstwach. Wobec tego zawiesiłem na kołku moją kuracyę maryenbadzką, którą miałem właśnie zamiar rozpocząć, gdyż wiem, że i bez niej schudnę. Zostanie człowiekowi kilka centów w kieszeni, które byłby zaniósł do apteki.

Weronisia, która od czasu zaprowadzenia kart kawowych chodzi jak struta, dowiedziawszy się o tych najnowszych rozporządzeniach, popadła w najczarniejszą z czarnych melancholii i niewiele brakowało aby była popełniła samobójstwo. Niestety, dała sobie spokój, czego, prawdę powiedziawszy, bardzo żałuję, byłbym bowiem zmuszony przywdziać po niej żałobę, a w czarnym kolorze jest mi podobno bardzo do twarzy. Tak mi przynajmniej powiedziała jedna z mych wielbicielek, stała czytelniczka kronik, obecnie obrażona na mnie za wymyślania na waryactwa mody.

Trudno jednak wszystkich zadowolić. Ja za ów artykuł odpowiedzialności nie przyjmuję, powtórzyłem tylko to, co napisał pewien kolega po piórze i nożycach. W jego stronę niech się zwrócą niewiasty, mnie zostawiając w spokoju. Na żądanie mogę służyć jego adresem, z góry jednak zapewniam, że jest to mąż odważny, nie bojący się nikogo, nawet kominiarza, (a żony?... *przyp. zecera*).

Nawiązując do mód, muszę wspomnieć bodaj kilku słowami o czemś, co z niemi ma pewną łączność.

Zdarzyło się niedawno, że na wystawie obrazów w Pałacu Sztuki przy Placu Szczepańskim znalazło się kilka pań, podziwiających seryę malowideł, przedstawiających niewiasty w stroju, w jakim paradowała po raju nasza świętej pamięci prababka Ewa, to jest... nawet bez listka figowego, ale zato w różnego rodzaju kapeluszach. Patrzyły, kiwały głowami, wreszcie jedna z nich rzecze:

— Patrzcie panie! Oto strój, w jakim będziemy chodzić, jeżeli wojna dłużej potrwa!

Tego rodzaju moda będzie przedewszystkiem bardzo hygienie odpowiadającą, nie narazi też mężów na niepotrzebne wydatki, kronikarzowi zaś nie da sposobności do narzekań i ucbroni go tem samem od niezadowolenia i ataków ze strony płci nadobnej. Trzeba jednak postarać się, by skasowano i owe kapelusze, wówczas bowiem niewiasty sadziłyby się jedna nad drugą, by mieć jak największe i najkosztowniejsze. Tego rodzaju kostyum nie byłby jednak odpowiednim na porę zimową.

Jak Czytelnicy zapewne się domyślają, na wakacye dotąd nie wyjechałem, ani też rodziny dotąd nie wysłałem na owo południe, choć wakacye już się na dobre rozpoczęły. — Może to zresztą nawet i lepiej, siedząc bowiem w mieście, może człowiek tem energiczniej zajmować się polityką, niż gdzieś w jakiej zapadłej Pipidówce, dokąd gazety nie dochodzą wcale, albo z kilkunastodniowem opóźnieniem i to dopiero po dokładnem przeczytaniu ich przez panią poczmistrzynię i całą jej rodzinę, która także spragniona jest wiadomości ze szerokiego świata.

Uprzyjemniam sobie natomiast życie, jak mogę. Dla odmiany zajmuję się teraz studyami astronomicznemi, do czego daje dobrą sposobność bieżący miesiąc, na który przypada zaćmienie słońca i księżyca. Zaćmienie księżyca już miało miejsce w dniu piętnastego lipca, niestety zaspałem sobie, zapowiedziane było bowiem na godzinę trzecią rano, a ja nie wiedziałem, według którego zegara, zwyczajnego, czy letniego. Nastawiłem wprawdzie budzik na wszelki wypadek, taki przecież ciężki sen skleił me powieki, iż nie obudziłem się wcale. Widocznie jestem człowiekiem sprawiedliwym, skoro śpię tak spokojnie.

Nie lepiej powiedzie się z zaćmieniem słońca, które przypada na dzień trzydziestego lipca, a ma mieć formę pierścieniową, rozpocznie się bowiem według zapowiedzi w dwadzieścia pięć minut po północy, a w tym czasie zazwyczaj słońce u nas nie świeci.

Ale ja już mam pecha do wszystkiego, większego nawet niż ów krakowski kupiec, o którym pisał swojego czasu *Kurjerek*. Pojechał po towary do Budapesztu, poznał tam jakąś „piękną Tereskę“ i tak się jej spodobał, iż, chcąc mieć po nim bodaj jaką taką pamiątkę, zabrała mu z portfelu sześć banknotów tysiąckoronowych. Ale on miał szczęście, gdyż pieniądze odebrał, gdybym ja się był znalazł w tem położeniu, nie byłbym ich z pewnością oglądał. Ba, ale skąd wziąłbym tyle pieniędzy, co kupiec, to nie chudy literat! Ciekawy jestem. Co powiedziała żona owego kupca, gdy wyczytała o tem w gazecie, prawdopodobnie nie musiała być z tego bardzo zadowoloną! Gdyby tak coś podobnego na mnie padło, Weronisia pogadałaby sobie ze mną po swojemu... Ale o tem nawet nie chcę myśleć! Słabo mi się robi na samo wspomnienie. Za stary jestem zresztą na to, by uganiać za jakiemiś tam Tereskami.

Choć z drugiej znów strony muszę się przyznać, że niewiele brakowało, a byłbym dziś milionerem i to nie bylejakim, mógłbym więc pozwalać sobie na rozmaite ekstrawagancye. Swojego czasu, gdym bawił w Ameryce, dokąd mnie były prezydent Roosevelt zaprosił na polowanie na wyjce rude i grzechotniki, poznałem pewną, wprawdzie już leciwą niewiastę, pannę Hetty Green, która dziedzicznie obciążoną była ciężkimi milionami i to nie koron, ale dolarów!... Gdyby nie to, że z Weronisią byłem już po słowie, byłbym się do niej kopnął, bo i babina nie była od tego. Stało się inaczej, postąpiłem jak człowiek honorowy, choć dziś tego żałuję, czytając w gazecie, że poczciwa starowina przeniosła się do wieczności, przeżywszy lat ośmdziesiąt i zostawiając po sobie tylko sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Gdybym był jej mężem, byłbym niezawodnie został i jej spadkobiercą. Stało się przecież inaczej! Ale i moja Weronisia, choć bez milionów, to perła, którejbym nikomu za żadną cenę nie odstąpił!

A propos wakacyi trzeba kilka słów poświęcić i naszej młodzieży, która odpoczywa po całorocznych trudach, o ile je wogóle nazywać można trudami, gdyż dzisiaj nauka to zwykła zabawka. Inaczej było wówczas, gdy człek zagłębiał tajniki wiedzy, którą mu pakowano przemocą do mózgownicy różnemi drogami.

Wspominam zaś o tem tylko dlatego, iż nasi wielcy pedagowie, bojąc się, by się młodzież ich pieczy poruczona, przypadkowo nie rozpróżniaczyła zbytnio przez wakacye, nawołują ogół, by ich zastąpił i wynalazł dla młodzieży na ten czas jakieś zajęcie. Dziwnem mi się to wydaje o tyle, iż właśnie ci sami matadorowie w sprawach szkolnictwa postarali się już dawno o to, aby młodzież, zwłaszcza gimnazyalna, miała jak najmniej do roboty, a jak najwięcej czasu do zabawy i do tego w ciągu roku szkolnego, który jest przeznaczony na pracę. Chłopcy chwalą sobie ten system, nie potrzebują się bowiem zbytnio natężać, nowoczesna pedagogia powiada, że uczeń powinien się nauczyć wszystkiego w szkole. Jeśli zaś kto do owych przepisów rok cały się stosował, to jest pracował jak najmniej, trudno chyba odeń wymagać, by na pracę poświęcał ten czas, który już z góry przeznaczony jest na próżniactwo i wypoczynek. Widocznie chcą panowie pedagogowie, by ogół przez dwa miesiące naprawił to, co oni przez dziesięć napsuli. Bardzo wątpię, czy się to uda! A wielka szkoda. Przysłowie powiada, że czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci, jak więc młodzian nie nauczył się zamłodu pracować, ale tak porządnie, nie aby tylko zbyć, jak to teraz jest w modzie, trudno żądać, by potem, jako człek dojrzały, grzeszył zbytnią pracowitością.

Być może, że ktoś powie, iż zbyt czarno zapatruję się na tę kwestyę, przyznam się szczerze, że byłbym nawet zadowolony, gdybym się mylił, niestety, wiem, iż ogół przyznać mi musi słuszność. Minęły już te czasy, gdy młodzian, zanim zdał maturę, dość się napocił i napracował, dziś otrzymanie świadectwa dojrzałości to po prostu kpiny. Ale trudno! Pewien pan, wysoki bardzo dygnitarz, dzięki któremu wyszły te właśnie ulatwiające wszystko przepisy, miał w owym czasie syna, który zdawał maturę, a czegóż ojciec nie zrobi dla swej pociechy, zwłaszcza, jeżeli ona troszeczkę słabo jest rozwinięta, a chciałby, by kiedyś mogła spokojnie spinać się po drabinie społecznej, wiodącej, choćby do teki ministeryalnej i pieroga...

Objecują, że po wojnie będzie lepiej, dalby to Pan Bóg.

Sam, niestety, pociechy rodzaju męskiego nie posiadam, czego bardzo żałuję, ale dziś już naprawić nie potrafię, przyznam się przecież, że nie byłbym z tego zbyt zadowolony, gdyby mój otrok chciał nowoczesną metodą przejść przez życie, jak powiada Rusin „chytro, mudro, newełykim kosztom“. Mnie wychowano zupełnie inaczej, według starych zasad, przez nowoczesną pedagogię w czambuł potępionych, ale też muszę się przyznać, że praca mnie nie mierzi, owszem, jeśli się już do czego zabiorę, nie spocznę, dopóki sprawy w zupełności nie załatwię.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka historyczna.
Ułożył S. Jeloncza, Wola Justowska.

Z każdego nazwiska, idąc z góry na dół, wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich imię i nazwisko Polki, bohaterki z czasów powstania listopadowego

Czarniecki
Michał Korybut.
Żółkiewski.
Kazimierz Jagiel'ończyk.
Dwernicki.
Zajączek.
Koniecpolski.
Henryk Walezy
Pułaski
Zygmunt August.
Skrzynecki.
Jan Kazimierz

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Czy łoś pije świecę z toni Oki?

Grzebieniówka.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko niemieckiego muzyka.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –

Znaczenie wyrazów: 1. Wielki bogacz 2 Miasto na Litwie 3 Imię żeńskie 4. Poeta polski. 5. Bohater z pod Troi 6 Poseł papieski.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył S Jeloncza, Wola Justowska.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

B, d, e, e, g, i, k, k, l, o, r, s, ś, w, y, y, z, z, ź.

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego malarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – – – – –
□ – – – – – – – – –
□ – – – – – – – –
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2 Nauka o rybach 3. Francuski bajkopisarz. 4. Choroba zaraźliwa 5. Ryba morska 6 Pająk. 7 Naczynie kuchenne 8 Utwór poetyczny. 9 Wyraz, używany przy grze w karty. 10 Drzewo liściaste. 11. Dwugłoska 12 Spółgłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Pas zgnije, kot go kraje, tren przerwie.

Łamigłówka wojenna.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego nazwiska wyjąć jedną literę i ułożyć z nich imię i nazwisko węgierskiego polityka

Joffre
Pau
Nivelle
Petain.
Castelnau
Sarrail.
Ruzski.
Kuropatkin
Clemenceau.
Briand.
Humbert.
Szuwajew.
Brusiłow.
Sazonow.
Żyliński

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Matka chowa sokole oko i daje tu w pudło

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

TEODOR KYMP.

PROT O O. AKER

JERZY KAROL ZDOW.

WALENTY D N BOHUCKI

DYMITR OTTON A P MECENAWSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 28.

Zadanie do przestawienia Co się odwlecze, to nie uciecze.

Grzebieniówka:

J ó z e f W e y s s e n h o f
e a i k p p i l
m w d w o o a o
i i y a r p c r
o l a d y e y y
ł e s o s j n a
a c z r z a t n

Łamigłówka:

Ewa
yak
Jan
Ber
Zan
Don
Ian
aga
war
les
koc
ara
ach
yen
era.

Zadanie do przestawienia: Jak się człowiek sam nie przyłoży, to mu i Pan Bóg nie dołoży.

Szarada: Materace.

Logogryf:

N o s k o w s k i
O l i w a 1 6 6 0
W a t t J a m e s
O r a t o r y u m
W i e l k i w ó z
I m m e l m a n n
E g z o r c y z m
J a c h o w i c z
S i e c i a r k i
K o n t r a b a s
I n d a g a c y a

Zadanie do przestawienia: Ranny deszcz i starej baby taniec niedługo trwają.

Rówaanie:
Dąbrówka + żebro + Kraszewski = **Dąbrowski.**
Rawita + Nowa Zelandya + ogórek + Barbara = **Winogóra.**

Zadanie do przestawienia: Chłop robotny i baba pyskata, to wezmą choćby i pół świata

Bilety wizytowe: Kardynał Kapitan okrętowy Leśniczy. Czeladnik. Czynownik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga. K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, Z. Szymanek Nowy Sącz

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Błoński, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Między przyjaciółkami.

— Mówię ci, kochana Józiu, że z moim mężem nie mogę już wytrzymać. Codzień nad ranem wraca do domu pijany.

— To jeszcze dobrze, że sam wraca, bo mojego to zawsze przynoszą.

———

Różnie bywa.

Pewien pastor ewangielicki jechał parowcem do Ameryki. Wtem na morzu zerwała się gwałtowna burza.

— Kapitanie — pyta pastor drżącym głosem — czy bardzo źle z nami?

— Bynajmniej! — odpowiada kapitan — Gdyby było źle, toby się majtkowie modlili, a oni klną przecież.

Pastor musiał wreszcie schronić się do kajuty. Tam dręczy go strach, a widząc przebiegającego korytarzem oficera, pyta go:

— Panie poruczniku, co robią majtkowie, modlą się, czy klną?

— Klną! — brzmiała odpowiedź.

— Bogu dzięki! — woła na to ucieszony pastor.

———

Po pijanemu.

W „Esplanadzie" siedzi w kącie łysawy jegomość i czyta z nabożeństwem „Głos Narodu". Wtem siada przy tym samym stoliku jakiś dobrze już podcięty facet i poczyna się w niego uporczywie wpatrywać, a potem pyta:

— Jak panu na imię?

— Paweł! — odpowiada smętnie zapytany.

— Aha! — woła zalany interlokutor, popuszczając ślinę z gęby — To pan jesteś tym Pawłem, co pisał list do Koryntyan. Odpisali już panu?

Także dobre.

Pewien profesor języka polskiego starał się na każdym kroku odzwyczaić swych uczniów od błędnego, niegramatycznego wyrażania się. Szczególną predylekcyę czuł do słówka „trza" i niejeden uczeń „zrył", gdy się nierozważnie z tem słówkiem wyrwał. Gdy atoli pewnego razu na godzinie języka polskiego jeden uczeń nierozważnie pomimo licznych upomnień ciągle posługiwał się owem nieszczęsnem słówkiem, wpadł szanowny profesor w pasyę i, czerwony jak burak, zakrzyczał z katedry:

— Nie trzeba mówić trza, tylko trza mówić trzeba...

———

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego